

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. – 4 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. – 8 Mrk. 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. – 16 Mrk. – 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.



Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura Ungra w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 27 Stycznia 1906 r. Nr. 4.

Bandyci w Warszawie.

(Treść na stronie 2).

Bandyci w Warszawie.

(Do illustracyi tytułowej).

Wśród istnego chaosu, jaki w ostatnim czasie zapanował w Warszawie, rozwielmożnił się w mieście bandytyzm tego rodzaju, o jakim niegdyś wieści dochodziły tylko z prowincyi włoskich, gdzie na tem tle powstawały aż romantyczne opowieści, świat później obiegające w książkach popularnych. Dziś w krajach cywilizowanych nie zostało już ani śladu z bandytyzmu. Jako o niesłychanej już rzeczy rozpisują się dzienniki, jeżeli gdzie zdarzy się podobny wypadek na jakiej wsi zapadłej. Ale mieszkańcy miast są wolni od takiej plagi. Tymczasem w Królestwie Polskiem po różnych wypadkach na prowincyi, przyszła teraz kolej i na samą stolicę. Niema dnia prawie, żeby dzienniki nie notowały coraz to nowych wybryków bandytyzmu w różnych dzielnicach Warszawy, ku ogromnemu przerażeniu mieszkańców i oburzeniu miejscowej opinii publicznej, która zgodnie zaznacza, iż napady te pozbawione są pierwiastku politycznego.

Największej wrzawy i ogólnego zajęcia sprawiła świeża napaść na właściciela znanego browaru „Haberbusch i Schielle". O ósmej wieczorem do mieszkania p. Kazimierza Schiellego, w domu na rogu Wroniej i Krochmalnej, weszło sześciu uzbrojonych młodych bandytów, zdaje się, żydów rosyjskich, w wieku od lat 17 do 23. Na dole zastali w pokoju kilkoletnią dziewczynkę, którą zmusili do milczenia groźbą strzałów rewolwerowych, w obawie, by dziecko nie wszczęło alarmu. Stąd kazali zaprowadzić się na piętro do pokoju p. Kazimierza S., gdzie obstawili zaraz drzwi, okna i telefon, żeby uniemożliwić wezwanie pomocy. P. Schielle, widząc zewsząd skierowane ku sobie lufy rewolwerów, musiał być powolnym na rozkazy napastników. Kiedy więc zażądano od niego asygnaty do kasy na 2 tysiące rubli, podpisał ją. Do sąsiedniego kantoru, w którym znajduje się kasa, poszli trzej uzbrojeni wraz z bratankiem p. S. Tu podobnie jak poprzednio, zabezpieczyli się rabusie, pilnując drzwi i telefonu i już jeden z nich zwrócił się do kasyera o wypłatę asygnaty, gdy wtem — chwilę tę właśnie wyobraża nasza rycina tytułowa — otwarły się drzwiczki w ścianie kryte i stanął w nich, zwabiony niezwykłym o tej porze hałasem w kantorze, ekspedyent p. Kazimierz Kosiarski, który na widok zbrojnych gości, domyślił się o co idzie, wyjął śpiesznie rewolwer z kieszeni i strzelił do jednego z łotrów. Gdy ten runął raniony, dał p. Kosiarski drugi strzał, którym powalił trupem na miejscu bandytę, stojącego już z pieniędzmi przy kasie. Reszta napastników na odgłos tych strzałów zbiegła natychmiast i przepadła bez śladu. Zawezwana następnie policya usprawiedliwiła w zupełności postępek p. Kosiarskiego, zapewniając go, że w tej sprawie będzie powoływany tylko w charakterze świadka. Przy zabitym nie znaleziono dowodów żadnych, drugi zaś bandyta, raniony kulą w piersi, nie chce wyjawić swego nazwiska, tylko jakiś papier czarny okazuje, jako legitymacyę należenia do międzynarodowego związku anarchistycznego.



Nowy prezydent Francyi: Armand Fallières.

Nowy prezydent Francyi.

Siedmioletnie urzędowanie obecnego prezydenta republiki francuskiej kończy się dopiero 18 go lutego b. r. w takim dniu bowiem wybrano Loubeta w roku 1899. Ale w myśl konstytucyi, wybór nowego prezydenta musi się odbyć w Wersalu conajmniej na miesiąc przed wygaśnięciem władzy urzędującego naczelnika państwa.

Prezydentem Francyi wybrało zgromadzenie narodowe w Wersalu o pół do czwartej popołudniu 17-go stycznia 1906 r., na przeciąg lat siedmiu, począwszy od 18 lutego, Clémenta Armanda Fallièresa, który otrzymał 449 głosów, a więc o 73 więcej od Doumera, a 23 głosy ponad absolutną większość.

Armand Fallières jest wnukiem chłopa gaskońskiego, a synem skromnego pisarczyka sądowego. Liczy dziś lat 64, urodził się bowiem 6 listopada 1841 w miejscowości Mézin w departamencie Lot et Garonne. Ukończywszy studya prawne, z trudem zdał egzamina, poczem w rodzinnych stronach swoich został adwokatem w mieście Nerac, gdzie z czasem, dzięki osobistym i towarzyskim zaletom, wielką pozyskał popularność. Wybrano go tam merem. Urząd ten sprawował Fallières do roku 1873. W trzy lata później wybrano go deputowanym. W Izbie wszedł do lewicy republikańskiej, a wkrótce przyłączył się do zjednoczonych stronnictw lewicy, które obaliły w r. 1877 gabinet Brogliego. W r. 1880 został podsekretarzem stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych. W rok później był nawet prezydentem ministrów. W następnych latach to w gabinecie Ferry'ego, to Tirarda, to znów w gabinecie Freycinet-Constans dzierżył po kolei prawie wszystkie teki ministeryalne; najdłużej kierował sprawami

Rewolucya w krajach nadbałtyckich: Napad na dwór we wsi łotyskiej w Kurlandyi.

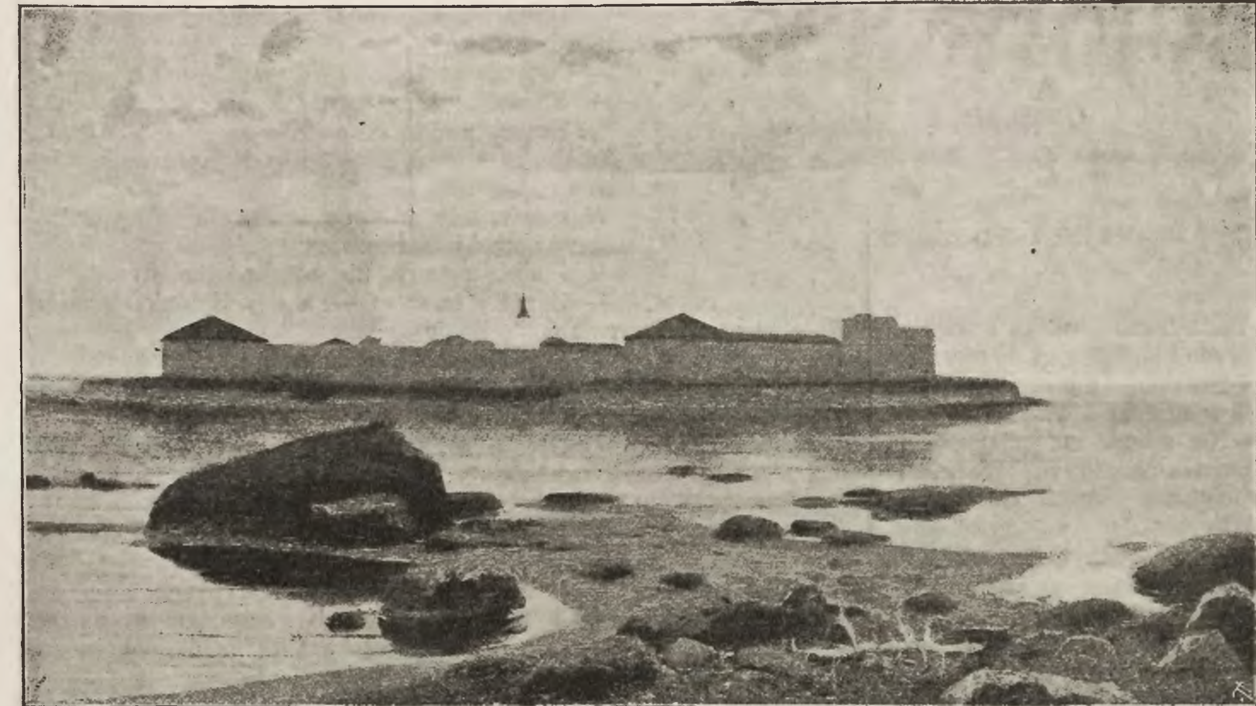
oświaty, najczęściej bywał ministrem sprawiedliwości, ostatni raz do roku 1892.

Z departamentu Lot et Garonne wybrano Fallièresa senatorem w r. 1890 i odtąd pozostaje w senacie; jego prezydentem został w r. 1899 po Loubecie, który mu dziś ustępuje jeszcze lepszego fotelu, prezydenta republiki.

Fallières jest jowialnym gentlemanem; widać to z jego portretu, który obok podajemy. Trochę leniwy, niema zwyczaju wstawać przed 11 tą rano. Używa jednak wiele ruchu, żeby stracić zbytnią okrągłość. Lubi dobrze zjeść i wypić, ale pije tylko wino z własnych winnic, z których jest dumny. Tytoniu nie pali. W odpowiedniem towarzystwie sypie jak z rękawa wesołemi, a często tłustemi anegdotkami. Jest zapalonym myśliwym. Nadto przepada za muzyką i był pierwszym ministrem francuskim, który dał order.... aktorowi.

Pensya roczna, jaką pobiera prezydent republiki francuskiej, wynosi 1.200.000 franków; nadto otrzymuje on rocznie po 700.000 fr. na koszta reprezentacyi i podróży. Dla porównania przypominamy, że lista cywilna np. cesarza austryackiego wynosi rocznie — 22 miliony koron.

Fallières jest żonatym od lat 35 i ma troje dzieci.



Ostatnie dni najcięższego więzienia: Rosyjska forteca Schlüsselburg, która wkrótce przestanie być więzieniem politycznem (widok ogólny).

Rewolucya w krajach nadbałtyckich.

Nieliczny, zaledwie półtora miliona głów liczący narodek, bez wszelkich tradycyi dziejowych, nie mający królów i hetmanów w swoich wspomnieniach, ani warstw wyższych i przewodników „naturalnych“; lud, któremu zaszczepiano kolejno kulturę niemiecką, duńską, szwedzką, polską, rosyjską, to znów niemiecką — gdy tylko zabłysła mu nadzieja wolności, otrząsnął to wszystko z siebie z prawdziwą łatwością — i stał się sobą. Mówimy o prawie zapomnianem plemieniu łotyskiem, na które powszechną uwagę zwróciły teraz ostatnie wypadki w prowincyach nadbałtyckich w Rosyi. To też na czasie właśnie będzie zapoznać się bliżej z tym szczepem, który zdobył się na tak potężny ruch rewolucyjny.

Oto z pięciu ludów, tworzących niegdyś jedną z najstarszych rodzin w szczepie aryjskim — litewsko-łotyską, dwa, mianowicie: Prusacy i Jaćwierz, znikły z widowni dziejowej, dzięki polityce silniejszych sąsiadów i tylko Litwa, Żmudź i Łotwa zdołały utrzymać się dotychczas. O ostatnim z tych ludów, o Łotyszach, najmniej było głośno w historyi. Za to kraj, przez nich zajmowany, był nieustannie przedmiotem pożądliwości i zabiegów państw ościennych. Począwszy od 12-go wieku zapędzają się tam w różnych czasach to Niemcy, to znów drużyny morskie szwedzkie i duńskie, od strony lądu zaś plądrują kraj Litwini i książęta ruscy. Wreszcie za Zygmunta Augusta poddał się kraj ten Polsce. Lecz wkrótce zajmują go Szwedzi. Odtąd kolejno przechodzi on do rąk Polaków, Szwedów, aż wreszcie dostaje się Rosyi w r. 1714.

Dopiero w ostatnich paru dziesiątkach lat zaczęła się tu naprawdę praca kulturalna nad podniesieniem oświaty i uświadomieniem ludu. Wpływ rosyjski w tym kraju poprzestał na przemianowaniu nazw kilku miast, jak Dorpat na Jurjew, Dynaburg na Dwinsk itp. W ostatnich kilkunastu latach garstka młodzieży inteligentnej, pierwszych pracowników odrodzenia łotyskiego, wystarczyła, by w krótkim czasie obrócić w niwecz wiekowe usiłowania różnych przewodników ludu. Dziś lud łotyski zajmuje jedno z pierwszych miejsc pod względem oświaty wśród innych narodowości państwa. Główne centrum łotyskie, to dzisiejsza gubernia kurlandzka i granicząca z nią części gubernii sąsiednich Dawne Inflanty polskie to dziś powiaty lucyński i rzeczycki gub. witebskiej.

W tych właśnie prowincyach, na skutek nagłego rozbudzenia się Łotyszów, rozegrały się w ostatnich tygodniach krwawe wypadki. Do tej chwili powstanie w prowincyach nadbałtyckich nie zostało jeszcze stłumione. W Kurlandyi i w Inflantach całe jeszcze obszary kraju tu i ówdzie znajdują się w rękach rewolucyonistów. Generałowie, którym polecono uspokoić kraje nadbałtyckie, działają energicznie. Według niedawnych wiadomości, w jednym tylko powiecie zrównano np. z ziemią 17 wsi łotyskich, gdzieindziej zniszczono i spalono doszczętnie domy, stanowiące siedzibę rewolucyonistów.

Podobnie postępowali wprzódy rewolucyoniści. Dzienniki w ostatnich czasach podawały często opisy napadów na dwory po wsiach nadbałtyckich, gdzie „ogniem i mieczem“ wywierano akty zemsty.

Jeden z takich epizodów tej krwawej rewolucyi przedstawia nasza rycina, obok zamieszczona.

Ostatnie dni najcięższego więzienia.

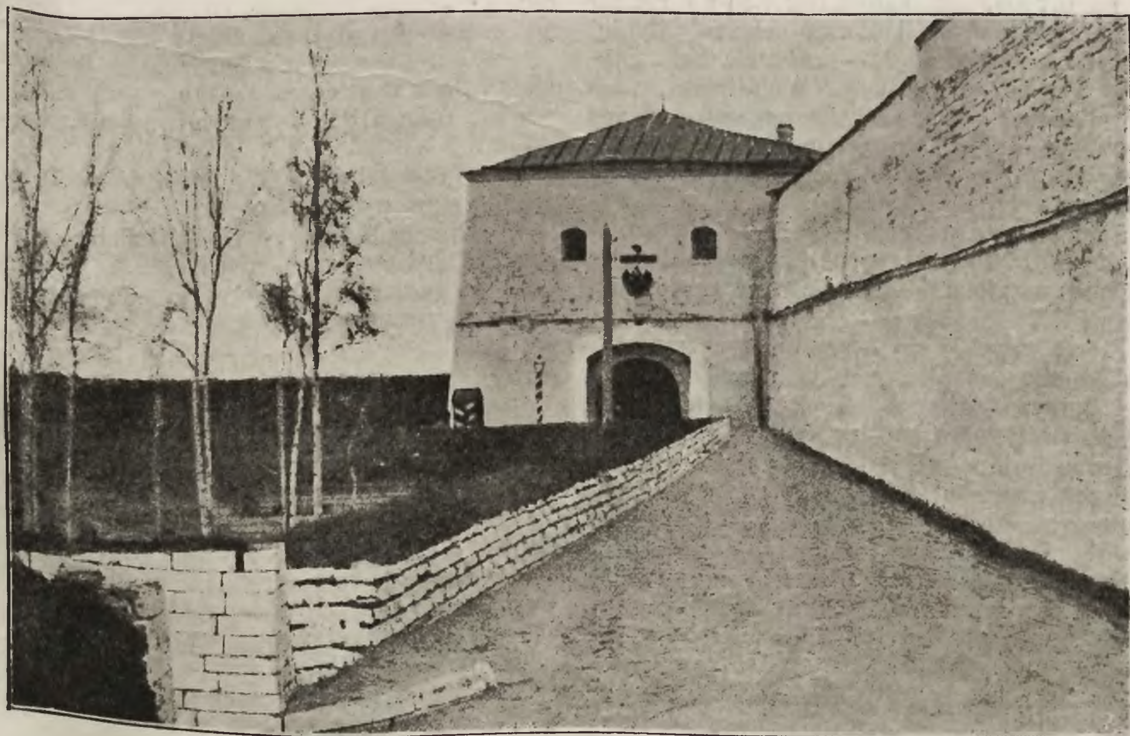
Telegramy z Petersburga przyniosły świeżo wiadomość, że według urzędowego ogłoszenia, zostaje zniesione więzienie Schlüsselburskie, a oszczędzona suma użytą zostanie na wzmocnienie korpusu żandarmeryi rosyjskiej, która wogóle będzie teraz znacznie powiększona. Uczucie ulgi budzi ta wiadomość: Schlüsselburg zamknięty! Któż o nim nie słyszał? „Twierdza klucza“... Czy można wybrać lepszą nazwę na więzienie? I jakie więzienie! Przeznaczone tylko dla najniebezpieczniejszych więźniów stanu, najsurowiej karanych przestępców politycznych, od roku 1882 gościło w różnych czasach najwybitniejsze osobistości, występujące w ruchu wolnościowym w Rosyi i krajach sąsiednich pod panowaniem rosyjskiem. W ostatnich czasach zwłaszcza często otwierały się ciężkie bramy schlüsselburskie na przyjęcie niezwykle licznych gości: w tej fortecy zamknięto instygatora ostatniego strejku powszechnego w Petersburgu, znanego pod pseudonimem Chrustalewa, oraz prezesa Związku związków Lutugina, a wraz z nimi przewódców organizacyj robotniczych i publicystów wolnomyślnych, redaktorów „Naszego Głosu“, „Naszej Żyźni“ i tylu innych. Dość powiedzieć, że od 1 stycznia niema dnia, żeby rankiem nie przywożono grona nowych więźniów do Schlüsselburga, którego odźwierni przywykli do witania nowych mieszkańców zaledwie raz na kilka miesięcy.... I oto teraz forteca schlüsselburska na której powiększenie i wzmocnienie wydano w 1890 r. miliony rubli, przestanie być nadal więzieniem. W jej murach tragicznych córka Piotra Wielkiego osadziła zdetronizowanego w r. 1741 cara Iwana, który tam męczony zginął.

Nie jeden z naszych rodaków spędził lata osamotnienia w tym grobie więźniów politycznych. Więc i po zamknięciu tej kaźni strasznej pozostanie w dziejach naszych pamięć smutna o lochach schlüsselburskich. Dlatego podajemy dziś dwie ryciny, przedstawiające widok ogólny na Schlüsselburg i główną bramę więzienną. Fortecę otaczają historyczne mury z kamienia, 15 metrów wysokie, z pięciu wieżami, w których na dwóch piętrach znajdują się cele: z nich roztacza się widok na bezkreśne przestrzenie wody latem, a lodów i śniegu zimą od października do maja. Miasteczko Schlüsselburg leży bowiem na wysepce piaszczystej między Newą a jeziorem Ładogą, w odległości 40 kilometrów od Petersburga, a liczy 5 tysięcy mieszkańców, przeważnie ponurych rybaków; do fortecy niedaleko od miasteczka, ledwie 50 metrów drogi.

Kto raz w życiu widział tę wysepkę rozpaczy nad Ładogą, zapewnia, że niema na świecie drugiego miejsca tak beznadziejnie smutnego.

* * *

W ostatniej chwili, już po napisaniu powyższego artykułu, wyczytujemy w dziennikach nowe wiadomości o skazaniu na więzienie w fortecy schlüsselburskiej mnóstwa osób, odgrywających wybitniejsze role w ruchu rewolucyjnym w Petersburgu i w Moskwie, to znów w Odessie i Kijowie, wreszcie w prowincyach nadbałtyckich. Oto za udział w powstaniu w Kurlandyi i na Inflantach aresztowano świeżo setki Łotyszów. Między innymi z Rygi wysłano kilka kobiet do Schlüsselburga. Będą to zapewne już ostatni więźnie stanu w tej strasznej twierdzy.



Ostatnie dni najcięższego więzienia: Rosyjska forteca Schlüsselburg, która wkrótce przestanie być więzieniem politycznem (brama główna).

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

ARTUR GRUSZECKI.

35 (Ciąg dalszy).

– Żandarmi aresztują nawet wielkie księżne i wielkich książąt, ileż mamy przykładów tego!

— Prawda, Oldziu — westchnęła — i co mi radzisz z nim zrobić?

— Nie zrażać go, udać, że się ciocia niczego nie domyśla, ani przypuszcza... i mojem zdaniem prócz mężowi, nikomu ani słowa o jego wizycie, bo gdyby się doniosło do niego, że ciocia wie, w jakim celu tu był, domyśliłby się zaraz, że pan Sudkiewicz powiedział coś cioci i kto wie, czy nie straciłby posady i urzędu.

— Nie, nie powiem — zawołała szczerze — nikomu ani słowa, ale i ty, Oldziu. Rozumiesz, że byłoby to ruiną naszą! O tej depeszy wiedział tylko on i naczelnik kancelaryi i Pierre mówił, że to sekret.

— Dobrze, cioci̇u, ja nie powiem.

— Chwała Bogu, że wyjeżdżamy, Oldziu, za dziesięć dni, od wtorku, co przyjdzie, za tydzień... dopiero odetchnę... Ale, że Pierre nie przychodzi?... Prawda, dopiero druga.

— Jeszcze jedno, cioci̇u; ani słowa w obecności Jana... on dopytywał się o niego, to nie jest bez kozery.

— Myślałam o tem sama, ale i ty masz dobrą główkę i jesteś ostrożna.

— Dobry przykład cioci — zaśmiała się.

Niezwykle niecierpliwie oczekiwany przez żonę pan Sudkiewicz przyszedł i rozdrażniony, z marsem na czole, siadł do obiadu.

Panie obie milczały zrazu, lecz gdy milczenie się przedłużało, zaczęły rozmawiać ze sobą o zawodzie, zrobionym przez krawcową, o konieczności dania praczce jaknajwięcej bielizny, o drożyźnie jedwabnych materyałów i tym podobnych rzeczach.

— Jak ja ci zazdroszczę, Reno, twego bezmyślnego szczęścia — westchnął — tobie wystarczą fatałaszki i ani głowa cię nie zaboli, że wszystko może się nagle urwać.

— Proszę cię, Pierre, tylko nie mów mi o twoich biurowych sprawach, nie chcę nic wiedzieć, nic słyszeć — powiedziała stanowczym tonem, nabierając na talerz potrawy z półmiska, trzymanego przez Jana.

— Miłą mam żonę — mruknął z pasyą — ale już ja się odpłacę.

Po dłuższem milczeniu odezwał się znów Sudkiewicz, ocierając gwałtownie usta serwetą i rzucając ją z pasyą na stół:

— Powinno cię przynajmniej to interesować, że widzisz mnie rozdrażnionym i zgnębionym.

— Ani słowa, proszę cię, Pierre — powiedziała po francusku — powiesz mi wszystko później.

— A to co nowego? — oburzył się — wtedy mówię, kiedy mi się podoba... czy nie jestem u siebie?

— Ależ milcz, nieszczęśliwy! — krzyknęła ostro po francusku — jesteś śledzony, szpiegowany.

Zbladł, usta otworzył, znów zamknął i dopiero po chwili dodał w języku francuskim:

— Reno, co mówisz? czy możliwe?

— Proszę cię, Pierre, ani słowa, mówmy o rzeczach obojętnych, dowiesz się później.

— No, no — kiwał głową z niedowierzaniem, ale zarazem z obawą.

Panie zaczęły rozmawiać z wielką żywością o modnych rękawach, o gatunkach dżetów, a Sudkiewicz od czasu do czasu zrobił stosowną uwagę, lecz wogóle widać było na nim pewne zgnębienie i wielką ciekawość.

Wreszcie obiad się skończył, a pani rozkazała Janowi:

— Natychmiast po twoim obiedzie...

— Już zjadłem, proszę jaśnie pani.

— Więc zaraz pójdziesz do Hersego, róg Marszałkowskiej i Placu Zielonego i spytasz się, kiedy będą gotowe nasze płaszczyki i suknie... poprosisz też o próbki nowości.

— Słucham, jaśnie pani.

— Możebyś wysłała Sabinkę — doradzał mąż — on potrzebny w domu.

— Sabinka musi myć naczynie, zresztą Jan lepiej załatwi — uśmiechnęła się łaskawie do lokaja.

— Postaram się, jaśnie pani. Czy mam do salonu podać kawę?

— Powiedz Sabince, niech przyniesie i spiesz się.

— Słucham, jaśnie pani.

— Przejdźmy do salonu, Pierre, i póki Sabinka w pokoju, ani słowa o żadnych sprawach biurowych.

W czasie, gdy Sabinka rozlewała kawę we filiżaneczki, rzekł Sudkiewicz:

— Zapalę cygaro, nie zaszkodzi ci dym?

— Zapal i owszem — a gdy Sabinka wyszła, odezwała się do męża:

— Teraz możesz mi opowiedzieć wszystko, co było w biurze, a że było coś niezwykłego, poznałam zaraz po tobie.

— Nie, Reno, najpierw ty mów. dom jest dla mnie ważniejszy; biuro obchodzi tylko moją osobę a dom nas wszystkich.

— Dobrze... tylko słuchaj uważnie... otóż w południe dzisiaj przychodzi Bolcew... cóż ty na to?

— Hm... hm... Bolcew? — wypuścił kłąb dymu — bywa u nas, cóż dziwnego, że przyszedł?

— Zaraz zobaczysz. Proszę go do pokoju jadalnego. bo jadłyśmy lody...

— Czy domowej roboty, czy z cukierni? — zapytał zainteresowany.

— Z cukierni, od Lursa... Bolcew był bardzo rozdrażniony z powodu socyalistów i tego ich pisma.

— To naturalne — uśmiechnął się, popijając zwolna czarną kawę — utrzymywał, że drukują zagranicą, tymczasem tutaj, już są dowody. Znaleziono niedokończony numer tej gazety i stary posłał przez swego adjutanta pułkownikowi żandarmeryi.

— To wskutek nieostrożności Helenki, pomyślała Olga, mały świstek i ten dostał się do ich rąk.

— Ty, Pierre, ciągle mi przeszkadzasz — zawołała żona niezadowolona — najpierw wysłuchaj, albo sam mów.

— Już słucham, Reno.

— Bolcew jadł lody, kazałam podać arak...

— Czy chwalił?

— Nie kosztował, więc nie mógł chwalić... mówiąc o socyalistach, skierował rozmowę na depesze tajne...

— Tak, tak — westchnął mąż.

— I zręcznie zaczął się dopytywać, co ty mówiłeś do mnie o tych depeszach. Czy powiedziałeś mi, że celem przekonania się, wysłano fałszywą depeszę?

Sudkiewicz zapomniał o kawie, cygarze, z pół otwartemi ustami wpatrywał się w żonę, wstrzymując niemal oddech, nachylony, aby słowa jednego nie stracić. Ta uwaga pochlebiła żonie i zwolna podkreślając niektóre słowa, mówiła dalej:

— Pytał, czy nie opowiadałeś o treści tej fałszywej depeszy....

— Przecież nie mówiłem... Dotrzymałem sekretu — szepnął pobladły.

— Czy Jan jest w pokoju w czasie obiadu, czy odchodzi? Czy zwierzasz mi się z urzędowych czynności? Czy w takich sprawach jesteś dyskretny? Jednem słowem, zrobił formalne śledztwo i badał mnie, jak podsądną.

— *A, padlec!* — wybuchnął — *a, sukinsyn*! Cóż ty na to? powiedziałaś prawdę, że nie rozmawiam, nie zwierzam się i zawsze sekretu pilnuję!

— Ładnie wyglądałbyś — zaśmiała się — gdybym była powiedziała prawdę. Wiedziałam przecież, że obawiacie się, iż socyaliści posiadają klucz do cyfrowania depesz, że celem przekonania się, poddałeś myśl fałszywej depeszy o odkryciu drukarni socyalistycznej.

— Ja?! Ja powiedziałem tobie?! To, Reno, niegodne kłamstwo! Przysięgnę na wszystkie świętości, że nie mówiłem — zawołał zaczerwieniony z gniewu.

— Pierre, uspokój się — rzekła tonem rozkazującym — nie mówiłeś, ale ja domyśliłam się z twojej miny i najlepszy dowód, że odgadłam prawdę, to twój gniew niesłuszny.

— Jednak nie mówiłem, dotrzymałem sekretu... a trudno, żebym nosił maskę na twarzy — mruczał gniewny i głośniej — cóż mu powiedziałaś naprawdę?

— Spostrzegłam zaraz po pierwszem pytaniu, że to sprawa nieczysta, bo proszę cię, on wpadł w południe, w czasie twej nieobecności; wie, że dłuższy czas nie może pozostać, bo to pora zajęć i obiadu; zaczyna o socyalistach i dopytuje się o depeszę? o ciebie?... hm... myślę sobie, ty mnie chcesz złapać, ale nie uda ci się, musisz wstać trochę wcześniej — zaśmiała się zadowolona — umyślnie zrobiłam wzmiankę, że przyszedłeś zmartwiony po awanturze, jaką zrobił z powodu pierwszej depeszy generał-gubernator, dla niepoznaki, gdyż Jan mógł słyszeć i przy badaniu przyznać się, ale ani słowa, słyszysz Pierre, ani słowa o drugiej, tej fałszywej depeszy, no, podziękuj mi, złośniku — wyciągnęła białą, ładną rękę, którą on głośno, kilkakrotnie ucałował.

— Jednak żandarm żandarmem zawsze zostanie — westchnął — niby przyjaciel, niby serce odda, a śledzi, a słucha, a bada... Ale cóż znowu z Janem? I ten także?

— Zrozumże, Pierre. Jeśli Bolcew mnie bada, może tak samo badać Jana, a on za głupi, aby ukryć, wypaple, że to i owo mówiłeś, coś nie dosłyszał, przekręci i ładna wyjdzie historya.

— Ale ty, Reno, rozumna kobieta — rzekł z wielkiem uznaniem — nie mówię już między kobietami, ale rzadko znaleźć mężczyznę, któryby tak szybko się zoryentował.

— I dlatego, Pierre, powinieneś mi wierzyć i radzić się w sprawach ważniejszych. A cóż było w twojem biurze?

— Dopiero teraz zrozumiałem, po wizycie Bolcewa, te aluzye, uśmiechy, drwiny... Więc wy chcieliście mnie złapać? A niedoczekanie wasze!

— Gadajże wyraźnie... albo nie mów wcale.

— Otóż musisz wiedzieć, że to obrzydliwe pismo socyalistyczne wydrwiło naszą depeszę fałszywą i kpi sobie ze samego generał-gubernatora, to jest zuchwalstwo, jakiego nawet najstarsi urzędnicy jeszcze nie pamiętają. Naturalnie z „dokładem“ poszedł sam naczelnik kancelaryi, wrócił blady i zły. Prosi mnie do siebie i powiada, że telegrafując zachował wszelkie środki ostrożności, że pochwycenie depeszy było prawie niemożliwe i że stary podejrzywa jego i mnie o zdradzenie tajemnicy. Ja przysięgam na wszystko, że nie powiedziałem, a on do mnie, chytrze: to samo i ja twierdziłem przed starym, ale on mi na to, że jesteś pan, to niby ja, żonaty „na Polce“, ona z pana wyciągnęła i zaraz Polakom rozgadała, aby się cieszyli i naśmiewali z naszych kłopotów. Ja mu powiadam, że żonie nigdy nie mówię o sekretach biurowych, że to nie moja natura, a zresztą, że moja żona bywa tylko w ruskich towarzystwach... Dobrze, dobrze, on mi na to, już my się dowiemy i dojdziemy prawdy.

— A więc Bolcew badał i śledził — zawołała z tryumfującym uśmiechem – a pamiętaj, nie zdradź się, że domyślasz się roli Bolcewa, nie chwal mnie, bo zaraz domyślą się, że musiałeś mi powiedzieć a ja tylko ukryłam zręcznie. Rozumiesz, Pierre, nic, ani słowa i z Bolcewem zawsze grzecznie, dobrze, jakgdyby nic nigdy nie zaszło.

— Już ty mnie nie ucz, sam wiem, ale co za przebiegłe łotry ci socyaliści, dostać klucz od depesz! no, no...

— Teraz nie będzie można już go używać... i co zrobi rząd? — spytała Olga

— Ja radziłem jeszcze jedną próbę, ale nawet słyszeć nie chcą. Generał gubernator kazał napisać raport do ministra i pewno zmienią klucz... Wiecie, nie jestem bogaty, a dałbym dzisiaj sto rubli, aby wykryć tę drukarnię, jakiego kłopotu, zamieszania narobiła! Poprostu człowiekowi wstyd podnieść oczy, tak z nas zakpili! I co tu ukrywać, zrobili nas durniami, którzy opłacają setki tysięcy, aby był spokój, cicho, a oni pod bokiem rządzą się w najlepsze, jak u siebie.

— I nie pytają o pozwolenie — zaśmiała się Olga, która w miarę narzekań stawała się weselszą i z trudem tłumiła radość z powodzenia „Wolności“.

— Tych łotrów mało powiesić za tę drukarnię, darłbym z nich pasy.

— Nie bądź taki srogi — zaśmiała się żona — a wiesz, jedziemy w poniedziałek.

I na szczegółach przygotowań do podróży skończyła się rozmowa.

XVI.

Od kilku dni zauważyła Olga, że śledzący ją człowiek zniknął i ucieszyła się bardzo swą odzyskaną swobodą. Zawiadomiła też o tem natychmiast Żaleckiego. Ten nie patrzał tak różowo na tę spraw., i przypuszczał, że albo jest to chwilowe zaprzestanie, albo też zmieniono szpiega, nie wydało mu się bowiem prawdopodobnem, aby Bolcew tak szybko przekonał się o bezzasadności swych podejrzeń. Radził też usilnie, aby Olga korzystała w dalszym ciągu z bocznego wyjścia przez sklepik, ile razy ma zamiar udać się do drukarni.

— Ja byłam i jestem tego samego zdania, co wy, Bolku — powiedziała na te rady — zresztą i tak wkrótce wyjeżdżam z Warszawy — westchnęła.

— Kiedy?

— Prawdopodobnie w poniedziałek.

— Tak prędko?!... I nawet nie miałem czasu nagadać się z wami, opowiedzieć wam wszystkiego — żalił się — jutro sobota, jestem do późna zajęty ekspedycyą... zostaje nam jedna, jedyna niedziela, czy będziecie wolni?

— Postaram się, Bolku, ale...

— Jakie znów „ale“? — nachmurzył się.

— Obawiam się narazić Heleny; do was nie mogę również, w restauracyi nie chcę, bo drogo i może ktoś podpatrzeć, musicie wymyśleć, gdzie się zobaczymy.

— Wiecie, Olgo, w niedzielę zrobimy sobie wakacye, wyjedziemy koleją do Pruszkowic albo Grodziska, pójdziemy w las, a z głodu nie zginiemy, bo zawsze coś dostać można do zjedzenia. A zabawimy się, jak aniołowie w niebie.

— Pyszna myśl — zaśmiała się — będziemy wolni od szpiegów, spotkań niespodziewanych, obaw...

— Wyjedziemy rano albo o ósmej, albo pół do jedenastej, od was zależy.

— Ze względu na ciotkę wyjedziemy o pół do jedenastej, a spotkanie na kolei.

— Tylko nie spóźnijcie się, bilety sam kupię.

— Będę.

Dzień był jasny, pogodny i na ulice wyległy tłumy publiczności. Kobiety, ubrane w jasne sukienki, w kapeluszach barwnych, z uśmiechem wyczekiwania przyjemnych wrażeń, spotkań, wycieczek i niemal każda z nich miała coś zaznaczającego, że to wiosna, że w ogrodach i na łąkach błyszczą kwiaty, że gaje i lasy rozbrzmiewają weselem i radością. Zdawało się, że jak pod skinieniem różdżki czarodziejskiej, gdzieś zniknęły zmęczone twarze, przepracowane ręce, zaniedbane ubrania; wszyscy strojni, rozweseleni, żądni zabawy, użycia dnia dzisiejszego, rozkoszowania się chwilą obecną, a zapomnienia o troskach i kłopotach codziennego, szarego życia.

Ten nastrój ogólny udzielił się i Żaleckiemu, ubrał się staranniej niż zwykle, wstąpił do fryzyera, aby przystrzydz włosy i brodę, a gdy na ulicy ogarnął go wesoły gwar tłumu, pożądanie zabawy i rozrywki, którem zdawali się wszyscy oddychać i on w nadziei miłego spotkania i spędzenia dnia w towarzystwie Olgi, poczuł się tak szczęśliwym, swobodnym, że patrząc, spostrzegał wokoło tylko piękne twarze kobiet, a każdy z mężczyzn zdawał mu się dobrym, serdecznym znajomym i przyjacielem.

Idąc ku dworcowi, kupił kilka róż dla Olgi i począł iść spieszniej, aby się nie spóźnić. Dopiero przed dworcem spojrzał na zegarek; było piętnaście minut po dziesiątej, miał jeszcze do odejścia pociągu dwadzieścia minut czasu.

W małych, brudnych salkach na dworcu panował ścisk, nawoływania, co chwila było słychać słowo: „przepraszam“, albo „pozwoli pan przejść“ i w tym tłoku tylko mała garstka podróżnych, jadących w dalszą drogę, stała przy swoich kuferkach, patrząc z pewną obawą na przelewającą się falę ludzi z miasta, dążących na wycieczki.

Z trudnością dobił się Żalecki do kasy kolejowej, kupił dwa bilety i przeszedł na chodnik przed dworcem, aby tam zaczekać na Olgę.

Przyjechała dorożką, którą Żalecki przed dojazdem zatrzymał.

— Sądziłem, że się spóźnicie.

— Nie mogłam wcześniej. Macie bilety?

— Kupiłem.

— Daleko jedziemy?

— Do Grodziska. Jest tam ładny pałacyk z XVIII w., park cienisty, a niedaleko lasy sosnowe.

— Wszędzie będzie mi dobrze, byle... — już miała mu powiedzieć „byle z wami“, ale wstrzymała się i kończyła — zdala od szpiegów i Moskali.

Wchodzili właśnie w przedsionek i przez salę drugiej klasy zmierzali na peron.

— Przyjmcie, Olgo, te róże — podał jej — one wam się należą, jako symbol.. wiosny.

— Dziękuję wam — odwróciła się trochę, by wziąć kwiaty i w tej chwili leciutko zbladła i przyspieszyła kroku.

Z boku, w drzwiach pierwszej klasy spostrzegła Bolcewa, który obserwował ich, gdy szli po schodach, gdy rozmawiali w przedsionku, gdy on podawał jej róże płomieniste. Twarz miał chmurną, zawziętą, surową.

Gdy byli już w sali, szepnęła Olga.

— Wiecie, Bolcew jest tu... może mnie nie spostrzegł, bo odwróciłam się szybko.

— Siadajmy do najbliższego wagonu — wskazał na stojący tuż przed drzwiami, wiodącemi na peron.

Olga szybko weszła do otwartego wagonu, ale nie dość szybko, aby jej nie dostrzegł Bolcew, stojący na peronie w zagłębieniu drzwi poczekalni pierwszej klasy.

Olga usiadła w kącie wagonu i szepnęła do Bolka:

— Wyjdźcie na pomost i uważajcie, czy wsiądzie do pociągu rotmistrz.

Stał na pomoście i na pozór obojętnie przyglądał się snującym się ludziom. Dostrzegł i rotmistrza Bolcewa, wydającego rozkazy wyprężonemu przed nim żandarmowi.

Już rozległ się trzeci dzwonek; konduktorzy z trzaskiem zamykali drzwiczki, nadkonduktor zagwizdał przeciągle i pociąg ruszył. Bolek z uśmiechem radości wewnętrznej poczuł kołysanie się wagonu, lecz nie spuszczał oczu z Bolcewa. Ten, gdy już wagony ostatnie zwolna się ruszyły, skoczył na stopnie wagonu i wsiadł do pociągu.

Zaklął Bolek półgłosem i z miną kwaśną poszedł do Olgi.



....Odwróciła się trochę, aby wziąć kwiaty i w tej chwili leciutko zbladła i przyspieszyła kroku. Z boku, w drzwiach pierwszej klasy, spostrzegła Bolcewa....

— Czy został? — spytała zaniepokojona.

— Jedzie... wskoczył w ostatniej chwili.

— Sądzicie, że mnie dostrzegł?

— Alboż wiem? Kilka razy spotkałem jego oczy na naszym wagonie, prześliznęły się i po mnie.

Przez jakiś czas milczeli, wreszcie rzekł z cicha:

— Nastawienie szpiega na was świadczy, że jest o was zazdrosny i nie dowierza wam... zazdrość ma oczy bardzo bystre... przypuszczam więc, że widział was i jedzie za wami. Co powiedzielibyście ciotce?

— Wyjeżdżam z Heleną na poszukiwanie letniego mieszkania dla niej.

— W danym razie trzeba to utrzymywać.... a może on jedzie tylko do Pruszkowa, zobaczymy, co będzie... A byłem tak pewny, że dzień ten będzie najmilszym dla mnie i osłodzi mi czas rozłączenia z wami.

— I ja tak myślałam — westchnęła — i nie moja, nie nasza wina.

— Ja też was nie oskarżam... ale pozwólcie mi, abym się nie cieszył i nie rozkoszował przyjemnością poznania tego pana.

— Nie, on chyba nie przyłączy się do nas — wątpiła Olga — to byłoby przeciwne przyjętym formom towarzyskim a tych on bardzo pilnuje.

— Jakie z was dziecko — uśmiechnął się — zważcie, że on nie jedzie dlatego, aby nam się ukłonić, aby zdaleka śledzić, lecz przez złość, przez zazdrość, a chociażby dla dokuczenia będzie wam towarzyszył i nie opuści was.

Dojeżdżali do stacyi Włochy. Bolek wyjrzał oknem i ujrzał rotmistrza, który wyskoczył z wagonu i bardzo bacznie przyglądał się wysiadającym, a gdy pociąg miał ruszyć, znów wsiadł do wagonu.

— Wiecie, Bolku, może wysiądziemy w Pruszkowie i wrócimy do Warszawy najbliższym pociągiem.

— Przypuśćmy, że tak zrobimy, on zbliży się do nas i spyta was bardzo grzecznie, co tu robicie? Szukam letniego mieszkania dla przyjaciółki... Bez niej? sama? i tylko w towarzystwie młodego człowieka? bo nie przypuszczacie, że was samych zostawię jemu na pastwę.

— To prawda, a najbardziej martwi mnie to, że on was pozna osobiście i może się mścić na was...

— E, nie dam się i nie boję się jego zemsty, ale jak was uratować? Jak nadać pozory prawdy waszej wymówce przed ciotką? — Uchronić was przed podejrzeniami jego i ciotki, aby was nie zmuszono do wyjazdu z Warszawy? do ojca?

— Tak, Bolku... wymacie słuszność — westchnęła—sprawa się wikła.

— Więc musimy ją rozwikłać, zaczekajmy, co on zrobi w Pruszkowie, już wkrótce dojedziemy.

W Pruszkowie rotmistrz tak samo się zachowywał, jak we Włochach, śledził, badał, czatował i znów jechał dalej.

— Nie ulega żadnej wątpliwości — mówił, gdy pociąg ruszył, — że jedzie tylko dla was, Olgo... Dobrze, że jedziemy trzecią klasą, nie wypada mu wsiąść do naszego wagonu i czynić poszukiwań w pociągu za wami.

— Ale co zrobimy? Co zrobimy?

— Przedewszystkiem Helena spóźniła się, czekamy do następnego pociągu.. ja jestem np. ciotecznym bratem Heleny...

— On widział, jak dawaliście mi róże...

— Czyż nie wolno wam przyjąć od ciotecznego brata Heleny?

— No, tak... zapewne...

Już w Pruszkowie wagon, w którym jechali, znacznie się opróżnił, jadący wybierali dogodniejsze miejsca i po chwili na pustą ławkę, naprzeciw Olgi i Bolka, usiadł starszy mężczyzna, dobrze szpakowaty, z pogodną twarzą, z wesołym uśmiechem.

Patrzał przez chwilę na zafrasowane miny młodych i odezwał się:

— Sądząc z ubrania, nie jedziecie państwo na pogrzeb — uśmiechnął się — a minę macie żałobną...

Bolek spojrzał badawczo na niego, przez chwilę ważył się w myśli i rzekł z przyjaznym uśmiechem:

— Trudno nie mieć żałobnej miny, jak żandarm siedzi nam na karku.

— Głupstwo! — zaśmiał się — głowa do góry i marsz naprzód! Nie w takich bywało się opałach, ale fantazya, to grunt. Czegóż od was chce ten „donowszczyk“?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przywódca rewolucyi w Sebastopolu.

Bunt marynarzy w Sebastopolu, który, jak sądzili rewolucyoniści rosyjscy, miał pchnąć rewolucyę w Rosyi na nowe zupełnie tory, został przez admirała Czuchnina zgnieciony w krótkim stosunkowo czasie. Płomień buntu, który takim jak się zdawało rozgorzał płomieniem, zatopiony został w potokach krwi; rząd rosyjski wytężył bowiem wszystkie siły, aby tę ruchawkę, najniebezpieczniejszą może ze wszystkich, stłumić i to mu się udało. Rewolucyę wojskową, która zagrażała rządowi, zgnieciono w samym zarodku tam, gdzie ona najsilniej wybuchła, a temsamem rozwiano w puch czarowne marzenia, jakie mieli rewolucyoniści.

Na czele buntu marynarzy sebastopolskich stał porucznik Schmidt. Człowiek to na wskróś przesiąknięty ideą walki o wolność; energiczny, nadzwyczajnie zdolny jako agitator, mający niezrównaną moc przekonywania, bo sam wierzył w zwycięstwo. Nic dziwnego, że człowiek ten zdołał za sobą pociągnąć kilka tysięcy marynarzy, że stojąc na czele buntu, wywiesił płomienną chorągiew wzywającą do walki z rządem, że wzbudził w całym świecie podziw i grozę. Przez kilka dni oczy całej Europy zwrócone były na Sebastopol, a cała uwaga ludzi, śledzących przebieg buntu, skupiała się na „Oczakowie“, krążowniku rosyjskim, na którym się znajdował porucznik Schmidt wraz z całym sztabem rewolucyjnym.

Kiedy po morderczej walce rewolucyonistów z wojskiem admirała Czuchnina w dniu 27 listopada, szanse zwycięstwa przechyliły się na stronę tego ostatniego, porucznik Schmidt usiłował w przebraniu majtka zbiedz z „Oczakowa“. Rozpoznano go jednak i wtrącono do więzienia wraz z jego 19-letnim synem, kadetem na „Oczakowie“. Na więzienie zaś przeznaczono dlań najgorszą, jaką sobie można wyobrazić, piwnicę w twierdzy sebastopolskiej, piwnicę, którą żołnierze nazywali „cuchnącą kazamatą“, nie mogąc o niej mówić bez wstrętu i mimowolnego dreszczu trwogi na samo jej wspomnienie. Jednak rewolucyoniści nie opuścili Schmidta w nieszczęściu. Postarali się oni o to, że Schmidt już w pierwszych dniach grudnia umknął z więzienia i w ten sposób ocalił życie, gdyż groziła mu niechybnie kara śmierci albo też ciężkich robót dożywotnich. Gdzie się dzisiaj znajduje, niewiadomo. Rewolucyoniści twierdzą, że jest już w bezpiecznem miejscu daleko poza granicami Rosyi, rząd zaś ogłasza ciągle, że Schmidt siedzi w więzieniu.



Przywódca rewolucyi w Sebastopolu: Porucznik Schmidt w towarzystwie syna i siostrzeńca.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze ilustracya, przedstawia porucznika Schmidta w towarzystwie syna i siostrzeńca.

Niedoszły „król“ republikański.

Niewiele brakowało, a byłby Paweł Doumer został prezydentem Francyi. Potrzeba mu było jeszcze 55 głosów na kongresie wersalskim, żeby zostać następcą Loubeta. Pobił Doumera popularniejszy Fallières, senator-radykał, ale upadek najpoważniejszego kandydata odbył się w wyjątkowo zaszczytnych okolicznościach: Doumer dostał tylko 78 głosów mniej od zwycięscy. Ambitny ten człowiek nie został jeszcze „pierwszym obywatelem“ Francyi, ale kongres wersalski w ubiegłym tygodniu dał dowody, że mógł nim zostać. Toteż świat cały w tej chwili zajmuje się jego osobą niemniej — jak jego zwycięskim przeciwnikiem.

Ciekawe są, bądź co bądź losy człowieka, który zdołał przejść o własnych siłach przez wszystkie szczeble drabiny społecznej, umiejąc wszędzie stanąć w pierwszym szeregu, bez względu na innych — więcej zasłużonych, zdolniejszych. Wyszedł on z ludu. Ojciec Doumera był robotnikiem ziemnym przy budowach kolejowych i umarł wkrótce po przyjściu na świat małego Pawła, dzisiejszego prezydenta Izby deputowanych. Skończywszy szkołę ludową w Paryżu, wstąpił Pawełek 14-letni do praktyki u medalionera, gdzie okazał się tak zdolnym, że już po roku zarabiał miesięcznie po sto franków. Ambicye jego nie dały mu jednak zasypiać spokojnie w fachu medalierskim. Spracowany robotnik korzystał już w dzień z każdej wolnej chwili, by się uczyć łaciny i greki, wieczorami zaś pilnie chodził na wykłady Związku politechnicznego. Praca nie pozostała bezowocną. Po paru latach Doumer zdał egzamin dojrzałości, poczem wkrótce egzamin nauczycielski, aż w 20-tym roku życia zdobył nominacyę na profesora matematyki (w której celował niezwykle) w gimnazyum w Mende z płacą 1840 fr. rocznie. Ale Paweł Doumer z pensyi profesorskiej wydawał na miesiąc zaledwie 36 fr., resztę oszczędzając skrzętnie, mimo pokus młodego wieku. Już w roku 1878 ożenił się z ubożuchną panienką, nazwiskiem Richel, siostrą kolegi. Co trzy lata regularnie rodziło się nowemu stadłu dziecko, tak, że dziś ma Doumer sporą ich gromadkę.

Ale wkrótce po ślubie porzucił młody pedagog matematykę i poświęcił się dziennikarstwu.

Po raz pierwszy usłyszała Francya o Doumerze, kiedy został redaktorem pisma „Tribune“ w St. Quentin i radykalnym posłem departamentu Aisne. Powtórnie do walki wyborczej w swoim departa-



Niedoszły „król“ republikański: Upadły kandydat na prezydenta Francyi, Paweł Doumer, z żoną i trojgiem dzieci.

mencie stanął Doumer w r. 1888 wraz z generałem Boulangerem, przeciwko umiarkowanemu kandydatowi. Boulanger zrzekł się kandydatury na korzyść Doumera, umożliwiając mu w ten sposób wejście do Izby, gdzie ten głosował pierwszy, po upadku generała, przeciw jego amnestyi. — Zdolności agitatorskich Doumera przerażono się w Paryżu, w 1890 r., kiedy zasłynął jako minister finansów w gabinecie Bourgeois, swoim projektem podatku dochodowego. Rychło więc Méline, chcąc się pozbyć rywala, wysłał Doumera do Indo-Chin, zamianowawszy go gubernatorem tych kol nii. Tam zrobił on majątek w ciągu lat 12. Pensya jego roczna wynosiła 120 tysięcy fr.

Powróciwszy w r. 1902 do kraju, poświęcił się znowu polityce. Stał się teraz wyznawcą imperyalizmu kolonialnego i gorliwym jego propagatorem. Wszedł znowu do Izby deputowanych, gdzie znaczenie jego utrwaliła walka wypowiedziana Combesowi. Gdy wybrano Doumera jej prezydentem, losy Combesa były już rozstrzygnięte, a upadek jego gabinetu położył pierwsze podwaliny pod kandydaturę Doumera na prezydenta republiki.

Podwójne małżeństwo bliźniąt.

Na bruku paryskim znają wszyscy dwóch bliźnich braci, tak uderzająco podobnych do siebie, że poprostu niesposób odróżnić, który z nich jest Alfonsem, a który Gabryelem. A podobieństwo to wywołuje bardzo często najrozmaitsze pomyłki, nieraz niezwykle komiczne, jest zaś dla obu dość kłopotliwe, zwłaszcza, że bracia Chanteau (takie jest ich nazwisko) należą do sfer wykształconych i eleganckich i obracają się w świecie artystycznym; są bowiem obaj malarzami o nieprzeciętnym talencie, obrazy ich więc są bardzo cenione, podobnie jak ich twórcy, wszędzie mile widziani, dzięki swym zaletom towarzyskim i pięknemu charakterowi.

Niech nikt jednak nie sądzi, że pomyłki z podobieństwa bliźniąt wynikające, doprowadzają kiedy do wzajemnych gniewów i stają się przyczyną zawiści między braćmi. Bynajmniej. A dzieje się to dla bardzo prostej przyczyny. Bracia bliźniacy kochają się nawzajem tak przykładnie i szczerze, że istne legendy krążą w Paryżu o dowodach ich miłości braterskiej i wypadkach poświęcenia się jednego za drugiego. Wobec wdowieństwa matki, jeden z braci uwolniony został od służby wojskowej; ponieważ jednak nie chciał się rozstać z kochanym bratem, udał się bez namysłu razem z nim do miejsca odbywania przez tegoż służby jednorocznej. W pierwszym zaraz tygodniu był on skazany na areszt tylko cztery razy za ukazywanie się publicznie w stroju cywilnym i z wielkim dopiero trudem zdołał dowieść swej niewinności wobec wojskowych władz przełożonych brata.

Kochając się tak czule, obaj bliźniacy postanowili nie żenić się nigdy. Wiedziały już o tem panienki w towarzystwach paryskich i ze swych kombinacyj małżeńskich wykluczyły braci Chanteau. Aż tu naraz gruchnęła wiadomość, że obaj malarze zmienili postanowienie, zakochawszy się jednocześnie—i to (co za traf szczególny) w siostrach bliźniaczkach, ośmnastoletnich pannach Renaud,



Podwójne małżeństwo bliźniąt: Slub bliźniaków: Alfonsa i Gabryela Chanteau, malarzy paryskich, z pannami Renaud, siostrami bliźniaczkami.

które również są do siebie łudząco podobne. Oryginalne to małżeństwo podwójne bliźniąt zawarto właśnie świeżo w Paryżu, który miał z tej przyczyny dużo uciechy.

Oba małżeństwa po ślubie, żeby i nadal brata z bratem, ani siostry z siostrą nie rozłączać, zamieszkały w jednym i tymsamym domu. Ale aby uniknąć łatwych, a niepożądanych pomyłek, wynikających z podobieństwa małżonków i szwagrów, ubierają się obie pary każda inaczej, przestrzegając bardzo ściśle różnicy zarówno w garderobie, jak nawet bieliźnie. Tylko na kobiercu ślubnym, jak widzimy na załączonej fotografii, stanęły obie pary w jednakich strojach oblubieńców.

Unarodowienie teatrów warszawskich.

W chwili, kiedy na scenę teatru Rozmaitości w Warszawie weszła druga już z rzędu ideowa sztuka polska, Adama Asnyka, „Bracia Lerche“, z szeregu tylu wstrzymywanych aż do tej pory przepisami cenzury — warto utrwalić w pamięci ogółu tę pierwszą, która rozpoczęła szczerze swojski i da Bóg, świetniejszy repertuar komedyi i dramatu w Warszawie.

Była nią napisana lat temu jeszcze 17 przez Wincentego Rapackiego, a nagrodzona wówczas na konkursie dramatycznym im. Bogusławskiego sztuka p.t. „Bogusławski i jego scena“, z której obraz odtwarzamy naszym czytelnikom w wiernym układzie scenicznym aktu II, z głównemi osobami działającemi, z Stanisławem Augustem na czele, na tle stylowego gabinetu królewskiego.

Premiera tej sztuki, dana w dniu 30 grudnia r. z., była wypadkiem dnia dla Warszawy, która od pamiętnej koronacyi cesarza Mikołaja królem polskim, nietylko nie gościła już spadkobierców korony polskiej w swych murach, ale nie widziała ich na scenie nawet w obrazach z historycznej przeszłości, chyba pod jedynie cenzuralnymi tytułami „książąt“, „dostojnych osób“ itp.

Po raz też pierwszy z afiszem tej sztuki czytała Warszawa i słyszała ze sceny prawowity wyraz „król polski“, „król Stanisław August“, a zobaczyła go w możliwie wiernem i stylowym odtworzeniu przez artystę Romana Żelazowskiego, tak, jak go przekazały potomności opisy historyczne i liczne portrety współczesne, głównie królewskiego malarza nadwornego Bacciarellego.

Upudrowany, w białej peruce francuskiej, z wstęgą Orła Białego na piersiach, siedzi w fotelu Stanisław August, mając po prawej ks. Hugona Kołłątaja, po lewej poetę nadwornego, szambelana Trembeckiego; a dalej stoi Bogusławski, twórca



Unarodowienie teatrów warszawskich: Chwila z II. aktu przedstawienia w Rozmaitościach w Warszawie sztuki Rapackiego p. t. „Bogusławski i jego scena“.

sceny narodowej w przeciwstawieniu do kamerdynera królewskiego, Ryxa, starosty piaszczyńskiego, intendenta teatru nadwornego.

Scena odtwarza po latach przeszło stu tę samą, aktualną i dziś walkę o unarodowienie teatrów warszawskich i to w chwili, przedstawiającej zmiany w jej zarządzie, który z rąk rządu ma przejść w ręce miasta.

Wówczas, w epoce sejmu czteroletniego, toczyła się ta walka o prawa języka narodowego z rozwielmożnioną podówczas francuzczyzną na scenie i w życiu.

Dziś rola opiekuna sceny narodowej w spuściźnie po ostatnim królu polskim spadła i troską i brzemieniem odpowiedzialności na ogół polski, który też silniej upomniał się o swe prawa na pamiętnym wiecu teatralnym, urządzonym w czasie krótkich wolnościowych dni listopadowych w teatrze Wielkim przy udziale kilku tysięcy osób.

Wybrany wówczas komitet teatralny obywatelski, choć bez prawa egzekutywy, w każdym razie podtrzymał myśl samą, a dalszy bieg wypadków, głównie siłą materyalnego bankructwa obecnego zarządu, skierował ją na dawno pożądane tory **umiastowienia teatrów rządowych w Warszawie.**

Podobne ciężkie przejście sceny narodowej za Bogusławskiego, stanowiące pouczającą na obecną chwilę analogię, umiał autor udramatyzować na tle dziejowem tak aktualnie, że gdyby tylko pozmieniać nazwiska i stroje historyczne, możnaby mniemać, że to chwila obecna rozgrywa się na scenie. To też rozgrzały się dusze widzów wspomnieniami patryotycznemi, a w intrygach Ryxa przeciw dążnościom narodowym Bogusławskiego wyczuliśmy tensam ból, tensam żal, tensam protest, który i dziś jeszcze rumieni nam zniewagą policzki, piecze dusze, pali usta polskie.

A przytem owa, wiecznie aktualna walka idealnego z handlowym na sztukę poglądem groszorobów teatralnych, którzy, jak wówczas „Pumpernikla" zamiast „Hamleta", tak dziś wolą wystawiać „Kontrolera wagonów sypialnych" zamiast „Mazepy" Słowackiego. A dalej obok walki cudzoziemczyzny z teatrem narodowym, walka żywiołów obcych, jak Ryx, z polskimi, walka płaskich kabotynów z artystami, wreszcie — jak słusznie wyraził się jeden z krytyków warszawskich — walka „papugi narodów" z budzącym się orłem ojczystym.

Takie znaczenie pomnikowe, jakby na dziejowem rozdrożu sceny polskiej w Warszawie miała sztuka Rapackiego „Bogusławski i jego scena" a niedaleka przyszłość pokaże, czy i o ile zwycięsko wyjdzie z tej przełomowej chwili pierwsza w Polsce scena narodowa.

Bejot.



Ośmdziesięcioletnia panna młoda: Budapeszteńska aktorka, 80-letnia Kornelia Prielle, nazajutrz po ślubie z 30-letnim literatem Van der Hoschke.

Ośmdziesięcioletnia panna młoda.

Wyobraźcie sobie państwo, że ktoś z was dowiaduje się, iż ośmdziesięcioletnia panna zakochała się nagle w mężczyźnie trzydziestoletnim i postanowiła pojąć go bezwarunkowo za małżonka. Bezwątpienia każdy powziąłby w pierwszej chwili przypuszczenie, iż władze umysłowe „panienki" kochliwej są nie w porządku i że należy przywołać lekarzy specyalistów dla zbadania stanu jej duszy, zwłaszcza w tym wypadku, gdy zależy rodzinie na ocaleniu jakiejś drobnostki, dajmy na to, którąby staruszka zacna przed śmiercią mogła dać „ciepłą ręką" lub w najgorszym razie zapisać testamentem. Co do tego niema dwóch zdań. A cóż z młodzieńcem, który chętnie przystaje na owo szaleństwo staruszki i w kwiecie wieku lat trzydziestu gotów pojąć za żonę niewiastę, mogącą być jedynie jego prababką. Na to znów zapewne zgodnie odpowiecie wszyscy, iż.... o ile staruszka jest bardzo bogatą, to niech się od biedy z nią żeni.... Nieprawdaż?

Taksamo było też w Budapeszcie. Sędziwa artystka dramatyczna Kornelia Prielle, jakkolwiek liczy sobie już ośmdziesiąt wiosen panieństwa, rozgorzała nagle miłością prawdziwą, a serce jej wybrało młodego i pięknego literata, 30-letniego człowieka, nazwiskiem Van der Hoschke. Rodzina starej artystki, dowiedziawszy się, że panna Kornelia postanowiła ślubnym węzłem połączyć się ze swym ukochanym, dążyła wszelkimi sposobami do przeszkodzenia temu szalonemu małżeństwu. Próbowano nawet pomocy sądów. Ale psychiatrzy zawezwani orzekli jednogłośnie, że stan umysłowy kochanej staruszki jest zupełnie normalny. Mógłby kto sądzić, że w takim razie jego znów władze umysłowe nie są w porządku. Ale lekarze nawet nie mieli zamiaru go badać pod tym względem, gdy się dowiedzieli, że jego przyszła żona jest bardzo bogatą. Zamiary jego wobec tej okoliczności nie wydały się im nawet wcale dziwne.

Toteż odbył się ślub w Budapeszcie wśród powszechnej sensacyi, a odbył się w dziewiczem mieszkaniu sędziwej panny młodej.

Podczas aktu tego siedziała oblubienica w białej sukni ślubnej w wygodnym fotelu. Świadkami tego niezwykłego zaiste ślubu byli wysocy dygnitarze węgierscy: członek Izby magnatów Eugeniusz Rakocsy i gubernator Rjeki (Fiume) hr. Paweł Szapary.

Nasza fotografia przedstawia osobliwą parę nowożeńców nazajutrz po ślubie.



Domy, z których zostały kominy: Widok ulicy na Preśni w Moskwie: Ruiny dużych domów mieszkalnych, zniszczonych w czasie rewolucyi ogniem artyleryjskim.

Domy, z których zostały kominy.

Wobec strasznych dni walk bratobójczych, jakie w ostatnim czasie przeżyła Moskwa, bledną nawet krwawe sceny niedawnej wojny na Dalekim Wschodzie. Moskwa ma mnóstwo zaułków i uliczek, które plączą się ciągle w nierozgmatwaną sieć, a w tej lotne oddziałki powstańców mogą zawsze bezpieczne znaleźć schronienie. Dlatego wykonalnym stał się tu właśnie plan rewolucyonistów. Straszna partyzantka z zaułków, z poza barykad, z okien domów i z dachów nawet, doprowadzała wojska do szaleństwa.

Oto kilkugodzinny ogień armatni oczyścił z barykad jedną dzielnicę. Ulica pusta, jakby wymiótł. Pułk dragonów wypada na nią galopem i nagle staje. Pierwsze szeregi utknęły w sieci drucianej, rozciągniętej nad ziemią tak wysoko tylko, aby kopyta końskie utknęły w oczkach zdradliwej sieci. A tu z okien, strychów, z dachów bocznych uliczek sypie się straszny grad kul. Gdzieś na przymurku ustawiona mała kartaczownica angielska leje w zbitą masę koni i ludzi strumień stalowych pocisków. Dźwięczy sygnał. Pułk dragonów cofa się. Cwałem zajeżdża na jego miejsce artylerya i zaczyna się straszne bombardowanie ulicy granatami. Powstańcy poszli już dalej, zabrawszy z sobą kartaczownicę. Tymczasem granaty artyleryi sieją grozę śmierci i zniszczenie w domach, być może, najprawomyślniejszych obywateli, w realnościach bogatych urzędników, kupców i wśród ich spokojnych mieszkańców. W ten sposób prowadzono walkę przez szereg dni w Moskwie, w różnych dzielnicach, dopóki rewolucyoniści, zmuszeni skoncentrować się w jednem miejscu, nie obrali sobie Preśni za ostatnią twierdzę. A dzielnica ta nadawała się najbardziej do tego, ile że maleńkie i krzywe uliczki jej utrudniały ruchy artyleryi, lub wprost uniemożliwiały dotarcie z armatami w miejsca najgroźniejsze. Ale i z tem sobie poradziło wojsko regularne dla stłumienia niebezpiecznej partyzantki powstańców. Zrazu całą dzielnicę ostrzeliwała artylerya z boków, aż wreszcie dla utorowania sobie drogi, wojsko ogniem działowym zburzyło doszczętnie całe szeregi mniejszych domów, podobnie jak do samych podwalin burzyło nieustannem prażeniem z armat każdy dom, choćby największy, w którym zamknęli się i zabarykadowali w większej liczbie rewolucyoniści. Takiego zniszczenia jeszcze Moskwa nigdy nie widziała. Toż nie dziw, że dziś wśród gruzów sterczą w Moskwie tylko ruiny gęsto dawniej zabudowanej dzielnicy Preśni i co kilkanaście kroków można napotkać miejsce—jak na załączonej rycinie naszej—gdzie z dużych domów mieszkalnych pozostały jedynie wysoko sterczące nad pogorzeliskiem... kominy.



Najwierniejsi: Armia rosyjska: grupa kozaków.

Najwierniejsi.

Kiedy hasła rewolucyjne w Rosyi dotarły nawet do wojsk lądowych i morskich, o których możnaby sądzić, że są pod tym względem najodporniejsze przeciwko podobnej „zarazie"; kiedy różne pułki piechoty tu i ówdzie na olbrzymich przestrzeniach imperyum rosyjskiego zaczęły odmawiać posłuszeństwa swoim przełożonym w koszarach miast i twierdzach i buntowały się całe załogi marynarzy w portach — spokojnem okiem spoglądano w Petersburgu jedynie na kozaków.

Niedarmo ich atamanem jest kilkunastomiesięczny następca tronu. Po dziś dzień wierność licznych zastępów wojsk kozackich nie zawiodła ani na chwilę. Toteż najczęściej czytamy w depeszach petersburskich o podziękowaniach monarszych dla tych najwierniejszych obrońców tronu.

Od chwili wybuchu rewolucyi w Rosyi słyszy się co chwila o posyłaniu lotnych secin kozaków dla uśmierzenia buntu, to na ulicach i placach stolic, to znów po mniejszych miastach lub osadach fabrycznych, to wreszcie po wsiach nawet, w czasie napadów na dwory, w ogniskach ruchów agrarnych.

Wszędzie, gdzie tylko bezwzględna szarża konnicy wydaje się naczelnikom policyi lub komenderującym oficerom jedynym ratunkiem, najskuteczniejszym środkiem dla stłumienia groźnego ruchu tłumów zrewoltowanych — pędzą na dany znak kozacy, jak wicher wpadają na swych małych konikach w skłębioną masę ludzką i przy pomocy swych osławionych, niemal przysłowiowych nahajek — robią porządek.

Zaiste, nikt się lepiej do tego nie nadaje, jak ci ludzie na pół dzicy, urodzeni i wychowani na bezkreśnych stepach, spędzający całe życie na grzbiecie swego nieodstępnego konia, z nahajką w ręce, z której teraz dopiero, po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego, kazano odjąć ołowiane kulki.

Wśród armii europejskich stanowią kozacy rosyjscy istny unikat; na pograniczu Rosyi i państw ościennych są kozacy postrachem. W ostatniej wojnie jednak na Dalekim Wschodzie zawiedli się wodzowie na ich użyteczności wobec najnowszych systemów wojennych.

„Nowości" podając po kolei podobizny różnych rodzajów broni z interesującej dziś wszystkich armii rosyjskiej, zamieszczają w dzisiejszym numerze grupę kozaków z oficerami, u stóp których leżą słynne nahajki.

Czarne seciny.

W chwilach, w których rewolucyoniści rosyjscy budowali barykady na placach i ulicach stolic i miast zrewoltowanych, by na nich pierś nagą nadstawiać na bagnety i kule, wymykały się chyłkiem z zaułków podejrzane indywidua z ukrytą bronią i szły szukać upatrzonych ofiar.

W jakiejś norze najpodlejszej podpiwszy sobie okropnie — niemal do utraty przytomności — łączyli się ci ludzie-zwierzęta w bandy i za czyimś podszeptem, rzuconym w odpowiedniej chwili, wypadali gromadnie, dążąc w dzielnice, zamieszkałe przez inteligencyę.

To były czarne seciny, organizowane w charakterze kontrrewolucyi, a złożone z mętów społecznych, z rozbójników i złodziei, zdolnych do wszystkiego bez namysłu, niemających po prostu już niczego do stracenia, a co najgorsze, tak ciemnych i wódką stumanionych, że kogoby im nie wskazano z podszeptem: „Bij, zabij!" — tego bez zastanowienia — po co i za co — bili do upadłego lub mordowali w sposób wyrafinowanie okrutny...

Ofiarami ich krwiożerczych instynktów padali przedstawiciele inteligencyi, najczęściej studenci. Spotkawszy na swej drodze grupę studentów wyższych zakładów, rzucali się natychmiast na nich z nożami czy rewolwerami, lub z pałkami czy nahajkami, w przeświadczeniu,

(Dalszy ciąg na stronie 12).



Czarne seciny: Epizod ze strasznych dni w Moskwie: Czarna sotnia dogania studenta i wtrąca do rzeki z wysokiego mostu.

J. HAWTHORNE.

Tragiczna tajemnica.

Z upoważnienia autora z angielskiego przełożył J. R.

7 (Ciąg dalszy).

— Bez kwestyi; ale nie zawsze robi się to, co się chce i to z rozmaitych przyczyn. Widzi pan, ja mam rodzinę, żonę, sześcioro dzieci. Nie można ich trzymać wszystkich w obcym domu, a wynajmować dla nich osobne mieszkanie, to niewygodnie. Zdarzyła mi się sposobność nabycia małego handelku, nie chciałem jej zaniechać i *voila tout!* — rzekł Hanier, wzruszając ramionami.

— Pułkownik musiał bardzo żałować, że pana stracił — zauważył Johnson i spojrzał nań badawczym wzrokiem. — Prawdopodobnie wzywa pana zawsze, ilekroć zaprasza do siebie większe towarzystwo.

— O nie — ja nie mam czasu — zaprzeczał Francuz, obracając się niespokojnie. Było mu bardzo na rękę, że właśnie w tej chwili weszło do sklepu kilku ludzi, których musiał obsłużyć. Po chwili Johnson opuścił gospodę.

— Jasne jak na dłoni — mówił sam do siebie — że tu nie wchodzi w grę ani polityka, ani żadne tajne stowarzyszenie. Hanier jest niczem więcej, jeno kochankiem miss Desmond. Pułkownik widocznie dorozumiał się, co się święci, może coś spostrzegł i oddalił ptaszka ze swego domu. Tylko zdaje się, że z tego wszystkiego ja nie będę miał najmniejszych korzyści. Miss Desmond nie zna zupełnie tajemnic swego męża, więc nawet groźbami nie zdołam od niej niczego się dowiedzieć. W każdym razie nie szkodzi, jeśli ją będę miał w swych rękach. W ten albo w inny sposób zawsze jednak ona mi się może na co przydać. Ale teraz muszę uważać na pułkownika. Sprawa się wkrótce rozstrzygnie.

Tak rozmyślając, wyszedł z ulicy Wolności i na rogu stanął.

— Tak czy tak, muszę jutro pomówić z Linką; najlepiej będzie, jeżeli to zaraz zrobię — namyślał się — zastanę ją teraz samą, bo miss Desmond musi już być w drodze.

Wszedł więc po raz drugi do domu Desmond'ów i zobaczył się znowu z Linką. Miss Desmond wyszła właśnie przed chwilą.

— Tak, a wzięła co ze sobą? — pytał Johnson.

— Ja nic nie widziałam — brzmiała odpowiedź — oddałam jej list i zostałam w pokoju przez ten czas, kiedy ona go czytała. Z piersi jej wydarł się bolesny krzyk i widać było, że jest ogromnie zaniepokojona. Naprzód poczęła chodzić po pokoju, potem list potargała na drobne kawałeczki i rzuciła je w ogień, wreszcie stanęła przy oknie i zagryzła wargi, co robi zazwyczaj wtedy, gdy ma jakie kłopoty. W końcu spojrzała na zegarek i zawołała: „Oh, już zapóźno, już nie przyjdę na czas!" Kazała mi przynieść sobie suknie, mówiąc, że musi zaraz wyjść z domu. Pomagałam jej przy ubieraniu się i jestem pewna, że nic ze sobą nie wzięła. Robercie! — Linka zaczęła płakać i mówiła ze łzami w oczach — Robercie, co to może być? Sprawa ta nie daje mi spokoju; patrzałam na tę scenę, a jednak nie mogę do tej chwili uwierzyć, aby to, com widziała, było prawdą! Ona była zawsze taka dobra, taka dystyngowana dama! Czy myślisz, że mąż jej o tem się dowiedział i teraz jej każe za to odpokutować?

— Skądże ja to mam wiedzieć? — odparł Johnson obojętnie. — Jeżeli zamężna kobieta jak zwyczajna ulicznica zadaje się z francuskim służącym, to się dziwić nie powinna, jeżeli po jakimś czasie dostanie kopniaka, jak się to mówi. Nie sądzę zresztą, aby ten list stał w jakim związku z tą właśnie historyą. Teraz jednak zależy mi na tem, aby się dowiedzieć, czy i o ile stosunek pomiędzy niemi się zmieni. Zdaje mi się, że tu nie wszystko idzie prawemi drogami, a jeżeli tak jest, to musimy się zawczasu postarać o to, aby cię zabrać z tego domu. Dostałaś się tutaj dzięki moim staraniom, kiedy więc zobaczę, że tu się źle dzieje, obowiązkiem moim jest nie zostawiać cię tutaj dłużej. Jeżeli pułkownikowstwo będą jutro wieczór mieli zamiar wyjść, to postaraj się dowiedzieć dokąd, a jak tylko wyjdą, wywieś z buduaru białą chusteczkę z okna. Ja będę w pobliżu i dowiem się w ten sposób, co mam dalej robić.

Udzieliwszy jej tych wskazówek i poleceń, odszedł.

Na drugi dzień wieczór, było to dnia 29 grudnia, pułkownik Desmond wyszedł wraz z żoną, gdyż byli zaproszeni gdzieś na obiad. Linka dobre, romantyczne dziewczę, wywiesiła, jak było umówione, z okna buduaru białą chusteczkę i siedziała w oczekiwaniu, jakby jaka księżniczka ze średniowiecza, która w swojem więzieniu oczekuje pojawienia się pięknego rycerza.

Nie czekała długo, bo po chwili usłyszała, jak Robert zadzwonił do bramy i pytał portyera, czy pułkownik jest w domu. Mówił on, że ma pilny interes do pułkownika, zaznaczając, że gdyby go nie było, to może go załatwić z miss Desmond. Naturalnie, był to tylko pozór, którego Johnson użył, aby uniknąć bajek, na jakieby się naraził, gdyby się wprost o miss Pond. Prawdopodobnie pozór bardzo łatwy do przeniknięcia, jak zwykle w takich razach. Tymczasem Linka zeszła na dół do przedpokoju.

To, co miała opowiedzieć, było w każdym razie co najmniej ciekawe. Miss Desmond powróciła późno wieczór, po zwykłej porze obiadowej; znać było na jej twarzy wielkie przygnębienie i niepokój. Nie jadła prawie nic i odrazu udała się do swoich apartamentów na górę, gdzie siedziała sama aż do czasu, kiedy pułkownik wrócił. Wywiązała się między nim a żoną dłuższa rozmowa, dosyć głośna, z której Linka, niestety, mało co rozumiała. Jedno tylko zdanie mówił pułkownik z naciskiem i tak głośno, że je mogła słyszeć, a mianowicie: „Ona musi się znaleźć — wołał — wolałbym stracić dziesięć, nawet sto tysięcy, aniżeli ją!"

Później był już spokój aż do rana. Pułkownik wstał jeszcze przed świtem i zdawało się, że raz jeszcze czegoś bardzo skrupulatnie szuka w górnych pokojach. Wreszcie wszedł do sypialni swojej żony. Głos jego, zazwyczaj cichy i miękki, brzmiał teraz głośno, gniewnie, ba, nawet groźnie. Równocześnie Linka słyszała głośny płacz miss Desmond. Z małemi przerwami trwało to blisko godzinę. Potem pułkownik zeszedł wściekły na dół na śniadanie i kazał zanieść pani kawę do sypialni. Linka, która wyszła na górę, aby usługiwać pani, zastała pułkownikową z zapłakanemi oczyma i śladami łez na policzkach, drżącą z wyczerpania i wzruszenia nerwów. W tym stanie pozostała prawie przez cały dzień; mówiła mało, a o tem, co zaszło, nie wspomniała ani słówkiem. Wieczorem dopiero przemocą się uspokoiła i powiedziała Lince, że jest wraz z mężem zaproszona na obiad. Właśnie kończyła się ubierać, gdy pułkownik powrócił do domu. Udał się zaraz do swego pokoju, ubrał się szybko, poczem oboje wsiedli do powozu i odjechali.

Tak brzmiał raport Linki.

Widocznem było, że zaszła jakaś katastrofa, która zamąciła spokój w domu Desmond'ów. Johnson, który przecie posiadał klucz do rozwiązania zagadki, klucz, o którym Linka nie wiedziała, nie mógł jednakże, taksamo jak i ona, znaleźć pewnego wyjaśnienia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wchodził tu w grę Hanier — jednak bezpośrednią przyczyną burzy był list, a w liście ani jedno słowo nie odnosiło się do dawnego piwnicznego, o tem wiedział Robert na pewne. Cóż jednak w takim razie mogło wywołać taki gniew pułkownika, jeśli nie ów piwniczny? Johnson nie mógł dojść do jądra sprawy, choć sobie dosyć nad tem nałamał głowy.

Na razie więc uspokoił Linkę, o ile mógł i udał się w oczekiwaniu dalszych wypadków ku domowi, do którego byli pułkownikowstwo zaproszeni. Upłynęło może ze trzy godziny, zanim towarzystwo, zebrane na proszonym obiedzie, zaczęło się rozchodzić, a powietrze było szkaradne; deszcz padał jak z beczki, burza zbliżała się z każdą chwilą. Johnson nie stracił w Ameryce swej angielskiej flegmy i czekał cierpliwie, choć każdy inny człowiek byłby uciekł i nie mókł na deszczu. Odziany nieprzemakalnym płaszczem, z małą fajeczką w ustach, chodził, pogrążony w myślach, od godziny 8 do 11 w pobliżu owego domu. Nareszcie zajechał pierwszy powóz i zabrał kilku gości, za nim drugi, trzeci, aż wreszcie zajechał i powóz Desmond'a. Pułkownikowstwo ukazali się na schodach, służący sprowadził ich na dół, poczem oboje wsiedli do powozu i odjechali. Johnson biegł szybko za nimi.

Był on przekonany, że pułkownik nie pojedzie z pewnością do domu, ale zawiódł się. Powóz skręcił odrazu w stronę domu Desmond'a i Johnson począł już żałować, że nadaremnie tak długo czekał. Przed bramą pułkownik i jego żona wysiedli i weszli do portyku. Johnson czekał, aż ich oboje zobaczy na schodach, wiodących do mieszkania.

Upłynęła jedna i druga i trzecia minuta, a pułkownik wraz z żoną nie weszli jeszcze do domu. Cień ich postaci zarysował się dokładnie na drzwiach wchodowych.

— Cóż oni tam, do stu dyabłów, robią? — myślał Johnson. — Może pułkownik zgubił klucz od drzwi? Ależ mógł przecież zadzwonić, a służba by go zaraz wpuściła. Przy takiem powietrzu nie ma przecie przyjemności stać na polu wśród deszczu i szalejącej burzy, chociażby nawet pod portykiem!

Johnson łamał sobie głowę nadaremnie, aby znaleźć rozwiązanie tej szczególnej zagadki.

Tymczasem dał się słyszeć turkot nadjeżdżającej dorożki, widocznie powracającej już do stajni. Na ten głos pułkownik i jego żona zbiegli szybko ze schodów, a pułkownik zawołał na dorożkarza, pomówił z nim słów kilka i wsiadł do doróżki.

Johnson szedł spiesznie za odjeżdżającymi. Nie sprawiało mu to zresztą trudności, bo doróżka jechała dosyć wolno. Zbliżyli się ku ulicy Wolności.

Tego Johnson się nie spodziewał. Czyżby pułkownikowstwo jechali do Hanier'a?

A tak było w rzeczywistości. Doróżka stanęła przed gospodą Hanier'a. W chwilę później ktoś wysiadł, ale to nie był pułkownik, tylko jego żona. Podeszła ku gospodzie i zadzwoniła do bramy. Wszystko już spało, cisza więc panowała niezmącona naokół. Zadzwoniła drugi raz i zaraz potem drzwi się otworzyły, a miss Desmond weszła do gospody.

To było zanadto zagadkowe! Jeżeli pułkownik był wściekły na żonę, podejrzywając ją o niewierność małżeńską właśnie z powodu Haniera, to pocóż, do licha, pozwalał jej samej iść wieczór do jego domu? Jeżeli zaś nie miał żadnych podejrzeń, to cóż on, albo też ona, mieli, za interesy z Hanier'em?

Po kwadransie może drzwi gospody raz jeszcze się otworzyły. Miss Desmond wyszła i zaraz wsiadła do doróżki, która natychmiast ruszyła z miejsca i za kilka minut stanęła w pewnej odległości od domu Desmond'ów. Pułkownikowstwo wysiedli, zapłacili dorożkarzowi i weszli do domu. Johnson odetchnął. Nareszcie śledzeni przez niego znaleźli się u siebie!

Wszystkie jednak szczegóły i okoliczności tej tajemniczej wycieczki pułkownika w burzliwą noc potęgowały jeszcze ciemności, w jakich się znajdował Johnson. Jaki cel miała ta wycieczka? Czy przyczyn jej należało szukać w politycznych zapatrywaniach i przekonaniach pułkownika — to było tajemnicą.

X.

Tajemnicze pismo.

Było to już około godziny pierwszej po północy, a więc zapóźno, aby powracać do Jersey City, zwłaszcza, że Johnson chciał być przed śniadaniem znowu na stanowisku. Jeżeli bowiem rzeczy szłyby dalej w temsamem tempie, to moment decydujący byłby niedaleki. Udał się więc do jednego z pobliskich hoteli i o godzinie 8 rano był już w drodze, aby pilnować dalej domu Hanier'a. A dobrze się stało, że wyszedł tak wcześnie. Zdaleka bowiem już zobaczył, że otwarto bramę domu pułkownikowstwa, a z niej wyszedł pułkownik i jego żona. On był w długim ulstrze, ona zaś tak otulona, że trudno ją było rozpoznać. Oboje szli z początku piechotą, później zaś wsiedli do tramwaju, idącego w stronę ulicy Wolności. Johnson następnym wozem podążył za nimi i wysiadł, jak i oni, przy ulicy Wolności. Aby go nie poznano, spuścił rondo kapelusza głęboko na oczy. Widocznem było, że pułkownik zmierzał do gospody Hanier'a.

Przed gospodą zobaczył jednak Johnson tłum ludzi, co na tej ulicy i w tem miejscu należało do rzadkości. Zdziwił się więc ogromnie, tem bardziej, że przy drzwiach gospody zobaczył policyanta, który widocznie pilnował, aby nikt nie wszedł do środka. Ludzie stali podzieleni na grupki i grupy, żywo rozmawiając. Wszyscy mieli oczy utkwione w oknach pierwszego piętra gospody. Pułkownik i jego żona stanęli również, jakby gromem rażeni.

— Cóż się tu stało?

Z tem pytaniem zwrócił się Johnson do jednego z tłumu, niskiego, krępego człowieka, który powoli, ślimaczym krokiem chodził od jednej grupy do drugiej.

Zapytany zmierzył Anglika bystrym wzrokiem i odrzekł:

— Podobno właściciel gospody, Ludwik Hanier, został dzisiaj w nocy zamordowany.

— Zamordowany?! — dzisiaj w nocy?! — powtórzył Johuson — o jakiej porze?

— Sądzę, że zaraz po północy — rzekł zapytany i powlókł się dalej.

Zaraz po północy! Johnson wzdrygnął się z prze-

rażenia i mimowoli skierował swój wzrok na Desmondów.

Podejrzenie, jakie mu przyszło na myśl, było zbyt okropne, aby mógł w nie uwierzyć. Miss Desmond? Nie, to było niemożliwe! Gdyby pułkownik poszedł był do Haniei'a, możnaby przypuścić, że.... ale żeby kobieta, ta anielsko dobra kobieta, o nadzwyczaj wysubtelnionem poczuciu piękna, dama z najwyższej arystokracyi nowojorskiej, która jeszcze dzień przedtem całowała i ściskała Hanier'a, żeby ona miała tę zbrodnię popełnić — nie, to było wprost wykluczone! A jednak, jeżeli się zważy wszelkie szczegóły ich nocnej wycieczki... Nie, nie! To niemożliwe!

Gdyby jednak...

Johnson aż ręce zaciskał z wściekłości, że nie mógł znaleźć wyjścia dla tajemniczej tej sprawy.

— Przypuśćmy jednak — myślał dalej — że ona rzeczywiście popełniła morderstwo. Pocóż więc przychodziła tutaj, na miejsce zbrodni? Czyż chciała się napawać widokiem miejsca, gdzie stała się zbrodniarką?

O tem nawet myśleć nie można. Na to trzeba było wyrafinowanego zbrodniarza. Miss Desmond, nawet gdyby była morderczynią, nie byłaby zdolną do takiej potworności. Zresztą jej zachowanie się było zupełnie inne, aniżeliby było w takiej chwili.

Johnson obserwował ją skrupulatnie. Podniosła właśnie woalkę. Na twarzy jej malował się smutek, niezgłębione cierpienie i przerażenie. Zdawało się, że nawet nie wiedziała, co robi. Pułkownik jednak, który zupełnie panował nad sobą, chociaż twarz jego zdradzała przygnębienie, zmusił ją, aby mu podała ramię i zdała się na niego. Za chwilę później odeszli oboje i przez cały dzień nie wychodzili z domu.

Na drugi dzień pułkownik wyszedł z domu o pół godziny wcześniej, jak zwykle. Nie poszedł jednak zwyczajną drogą do swojego zakładu, ale skręcił w boczne ulice, obserwując starannie wszystkie szyldy na sklepach. Przeczytawszy na jednym: „Sibley & Comp., Zakład zastawniczy“, zatrzymał się na chwilę, poczem wszedł do wnętrza lombardu. Johnson poszedł za nim i stanął prawie obok niego, oddzielony jeno małą przegrodą między okienkami.

Niski, starszy człowiek z olbrzymim nosem, prawdopodobnie właściciel lombardu, załatwiał właśnie sprawę z pułkownikiem, a w chwilę później zjawił się przy okienku Johnsona młody chłopak, pytając Anglika, czego sobie życzy.

Johnson mimowoli sięgnął ręką do kieszeni po zegarek, nie miał bowiem przy sobie żadnego przedmiotu zbytecznego, któryby mógł zastawić, z wyjątkiem zegarka. Odpiął więc swoją „cebulę“, jak mówił zwykle, z łańcuszka i oddał subjektowi, który odszedł w głąb, aby zegarek oszacować.

Tymczasem Johnson wytężył całą uwagę, aby nie stracić ani jednego szczegółu z tego, co się działo za przedziałką.

Pułkownik wyjął z kieszeni jakiś przedmiot i zapytał:

— Ile za to?

Stary lichwiarz oglądał podany mu przedmiot, który w ten sposób po raz pierwszy wpadł w oczy Johnson'owi. Była to mała, płaska, srebrna papierośnica, jak można było odrazu poznać, wyrobu zagranicznego, ozdobiona arcydziełem sztuki rytowniczej. Na jednej pokrywie znajdował się monogram — o ile Johnson mógł widzieć — dwie litery „L. H.“

Czy to dlań było niespodzianką, że papierośnicę zobaczył, z tego sam sobie nie umiał zdać sprawy. Z początku wprawdzie uderzyło go to, ale wkrótce sam sobie wytłómaczył, że powinien się był tego spodziewać. Była to bowiem papierośnica, której pułkownik żądał od żony w liście, jaki Johnson odpieczętował, zanim go oddał pani Desmond.

Czy miss Desmond oddała ją mężowi? Wedle raportu Linki — nie. A dlaczego nie? Nie mogła jej znaleźć?

Pułkownik przecie wyraźnie napisał, gdzie się papierośnica znajduje. Jeżeli jej tam nie było, to któż temu był winien? Albo ktoś ze służby, albo sama miss Desmond. Ale miss Desmond wcale się nie pytała służby, lecz zachowywała się, wedle słów Linki, tak, jakby z góry była przekonaną, że jej nie warto szukać, bo się jej nie znajdzie. W takim razie ona wiedziała, gdzie ta papierośnica jest! Może ją sama wzięła, ale poco? Chyba tylko po to, aby ją dać komu innemu?

A komu?

Chyba tylko Hanier'owi.

Myśl ta ucieszyła go ogromnie. Bo też wszystkie okoliczności przemawiały za tem, że jest prawdziwą.

Miss Desmond dała z pewnością papierośnicę, jako miłosny upominek Hanier'owi. Otrzymawszy list pułkownika, zmięszała się ogromnie, bo widocznie obawiała się, że, jeśli powie mężowi, gdzie się papierośnica znajduje, to mąż może ją łatwo pociągnąć do odpowiedzialności, dlaczego ona zwyczajnemu handlarzowi wina robi takie upominki.

Tak jest. Tak być musiało. Prawdopodobnie miss Desmond chciała wmówić w pułkownika, że on sam papierośnicę zgubił, ale jej się to nie udało. Przekonawszy się, że w ten sposób nie dojdzie do spokoju, postanowiła na drugi dzień wyznać mężowi, że papierośnicę wyjęła z biurka i podarowała ją Hanier'owi. Pułkownik musiał jej kazać wystarać się o nią, choćby to nie wiedzieć ile kosztowało i dlatego nawet sam z nią pojechał do do domu Hanier'a.

Jak dotąd było wszystko do pewnego stopnia zrozumiałem. Ale teraz przychodziły punkty zaciemnione. Zostawiając na boku morderstwo, które było zupełnie osłonięte tajemnicą, a Johnsona zresztą mało obchodziło, nie mógł on pojąć, dlaczego miss Desmond poszła sama do gospody, dlaczego pułkownik po wyjeździe do Haniera przedsięwziął takie środki ostrożności, a przedewszystkiem dlaczego papierośnicę zastawiał za parę dolarów, jeśli jej wartość cenił tak wysoko?



...Pułkownik musiał bardzo żałować, że pana stracił — zauważył Johnson i spojrzał nań badawczym wzrokiem...

Co do tego ostatniego punktu postanowił się Johnson upewnić, a szczęście mu służyło.

Sibley podszedł znowu do okienka, przy którem stał pułkownik i rzekł:

— Na takie rzeczy nie ma u nas popytu. Ostatecznie dałbym panu za nią pięć dolarów.

— Dobrze — odparł pułkownik sucho — ale spiesz się pan, bo na mnie oczekują w mieście.

Sibley mruknął coś pod nosem i podszedł do pultu, aby wypełnić kwit zastawniczy. Trwało to dosyć długo, bo Sibley'owi popsuło się pióro, aż pułkownik zniecierpliwił się na dobre.

— Mogę prosić o pański adres i nazwisko? — zapytał Sibley uprzejmie.

Pułkownik namyślał się chwilkę, poczem rzekł:

— Ludwik Hanier, właściciel winiarni, ulica Wolności 144.

Otrzymawszy kwit, pułkownik szybko wyszedł ze sklepu.

Równocześnie subjekt, który obsługiwał Johnsona, wrócił ku okienku, mówiąc:

— Półczwarta dolara!

— Wystarczy! — mruknął Johnson. — Nazwisko moje: John Robertsohn; adres: Broodway nr. 1280 — proszę o pieniądze.

Książki w zakładach zastawniczych są tak zrobione, że kwity następują w porządku jeden za drugim i są zawsze podwójne. Jeśli ktoś chce fant wykupić, wtedy porównuje się poprostu kwit z duplikatem, znajdującym się w księdze, na którym jest również nazwisko i adres zastawiającego oraz opis zastawionego przedmiotu. Jeżeli oba kwity się zgadzają, to fant się wydaje.

Kwit, który otrzymał Johnson, był taki sam, jak kwit pułkownika. Jedynie numer porządkowy kwitu był inny, ale był już ręką napisany, nie wydrukowany. Johnson znał więc numer kwitu poprzedniego, bo na jego kwicie był numer 984. Zabrał go więc, schował do portfelu i wziąwszy pieniądze, wyszedł.

Naprzód najkrótszą, jaką mógł drogą, udał się do zakładu, w którym pracował i dowiedział się, że pułkownik przybył tam przed kilku dopiero minutami.

W czasie pracy musiał się raz udać do pokoju pułkownika. Zastał go siedzącego w fotelu, głęboko zamyślonego. Przed nim, na biurku, leżał poranny numer jakiejś gazety.

Po załatwieniu spraw, odnoszących się do zakładu, ozwał się pułkownik:

— To morderstwo jest rzeczywiście szczególne!

— O jakiem morderstwie pan myśli? — zapytał Johnson, który miał ochotę wybadać przy tej sposobności samego pułkownika.

— O tej historyi z Ludwikiem Hanier'em, na ulicy Wolności. Musiał pan o tem słyszeć?

— Tak jest, czytałem dzisiaj w gazecie. Prawdopodobnie kłótnia z żoną, nieprawdaż?

— Sądzę, że nie. Hanier był uczciwym i pilnym robotnikiem. Pochodzi on z bardzo dobrej rodziny francuskiej, a żona jego cieszy się jaknajlepszą opinią. Wiem, że żyli oboje w największej zgodzie.

— Musiał pan czytać jakieś późniejsze dzienniki, albo pan tak zna te szczegóły.

Pułkownik chwilę milczał wreszcie odparł z niechęcią:

— Nie, mówię to z własnego doświadczenia, bo dawniej miałem z Hanier'em stosunki.

— Rzeczywiście?

— Przed kilku laty.

— W jaki sposób?

— Był u mnie piwnicznym — a znał się na winie doskonale. Żałuję bardzo, że go nie nakłoniłem, aby nadal u mnie pozostał. Nie poznałem się jednak na nim, a kiedym się poznał — to było już zapóźno.

— Ma pan może podejrzenia na kogo co do morderstwa?

— Zupełnie to dla mnie sprawa niejasna, zaciemniona tajemnicą. Taki człowiek, jak on! — Wiadomość o jego śmierci wzruszyła mnie ogromnie. Uważałem go prawie za należącego do naszej rodziny, a żona moja stratę jego jeszcze boleśniej odczuła, jak ja. Jeżeli policya nie wpadnie prędko na trop zbrodniarza, czy zbrodniarzy, to z całą przyjemnością wyznaczyłbym nagrodę za odkrycie sprawców zbrodni.

(Ciąg dalszy nastąpi).

że katując ich, spełniają dobry uczynek. Ale rzadko kiedy trafili właśnie na istotnego rewolucyonistę z których każdy w owych dniach gorących był kędyś przy pracy, jaką mu w danej chwili wyznaczyła partya bojowa. Za to najczęściej zastrzelili, poranili lub na śmierć zatłukli człowieka Bogu ducha winnego, który przyzwoitem ubraniem lub słowem zadokumentował w ich oczach przynależność do sfer inteligentnych — te zaś, jak się zdawało ślepym wykonawcom poleceń organizacyi czarnych sotni, bezwzględnie były winne rewolucyi.

Napadano tedy nieraz na jakąś cichą nauczycielkę, ciężko na chleb zarabiającą dla utrzymania całej rodziny, wyciągano ją z domu, czasem z łóżka, za włosy, szarpano odzież i bieliznę aż do naga i wleczono z dzikim tryumfem po bruku ulicznym, wśród naigrawań bezlitosnych tłumu, aż wreszcie skatowaną i shańbioną wrzucano do rzeki, lub stawu, do studni lub kanału... Bywały wypadki, że czarne seciny porwawszy młodą kobietę z inteligencyi, znęcały się nad nią okrutnie, poczem ciało jej rozdzierały na dwoje, szarpiąc za nogi.

A iluż to studentów, pełnych nadziei, straciło życie z ich ręki. Spojrzcie na załączoną rycinę. To scena niedawna ze strasznych dni Moskwy, której cerkwie widne zdala. Na Preśni walczą na barykadach. A tu w innej dzielnicy czarna secina upatrzywszy rewolucyonistę w osobie napotkanego studenta, napada na niego; gdy zaś nieszczęśliwa ofiara zdołała wymknąć się z rąk oprawców, ściga uciekającego, dogania go na moście i wtrąca do rzeki, w przepaść śmiertelną...

W Algesiras.

Przed 105 laty chwilowym rozgłosem cieszyło się miasteczko Algesiras z powodu zwycięstwa odniesionego w jego zatoce przez flotę francuską nad angielską. Od owego czasu przez cały wiek nikt na szerszym świecie nie słyszał nic o miejscowości tej nazwy, która teraz dopiero zdobyła sobie bezpłatną reklamę gdy stare jej mury wybrano na siedzibę rozgłośnej konferencyi marokkańskiej.



W Algesiras: Przedstawiciel sułtana Marokka na konferencyi marokkańskiej, Sidi Mahomet El Mockri, w chwili wyjazdu do Algesiras.

Zaledwie 13 tysięcy mieszkańców liczące miasteczko hiszpańskie, Algesiras, rozsiadło się na wybrzeżu zatoki, której broni potężna twierdza angielska Gibraltar.

Bliskość Marokka, na które ni z tego ni z owego zaostrzyli sobie w ostatnim czasie zęby dyplomaci francuscy, niemieccy, angielscy i amerykańscy — przyczyniła się do wybrania na siedzibę obecnej konferencyi tego właśnie miasteczka. Algesiras bowiem niema warunków na przyjęcie licznych przedstawicieli mocarstw oraz całego sztabu sekretarzów ich i doradców. Brak mu komfortu wielkomiejskiego, brak wszelkich przyjemności, nawet hoteli ma zbyt mało i bez odpowiednich wygód.

To też dużo kłopotu sprawił przyjazd gremialny do Algesiras przedstawicieli mocarstw. Rząd hiszpański starał się wpłynąć na mieszkańców, żeby okazali nieco gościnności obcym przybyszom, ale bezskutecznie. Żądają oni za jeden pokój dziennie po 100 do 150 koron, co w kłopot wielki wprawia dziennikarzy, zwłaszcza, że konferencya potrwać może do 2 miesięcy. Obradować ona zaczęła 17 stycznia w ratuszu, gdzie na pierwszem piętrze urządzono elektrycznie oświetloną salę posiedzeń; obok ma swój salon prezydent konferencyi; na dole zaś są biura telegraficzne i sala dla dziennikarzy-sprawozdawców. Większa część uczestników zamieszkała w hotelach: Anglo Hispano i Marya Krystyna, niektórzy zaś dyplomaci wynajęli wille. — Prezydentem konferencyi wybrano ks. Almodovara, delegata Hiszpanii i jej ministra spraw zagranicznych — w sprawie sporu francusko - niemieckiego o Marokko podobno przychylnego dla Niemiec, które są reprezentowane przez ambasadora von Radowitz i posła Tattenbacha. Francya przysłała ambasadora Révoil; Anglia amb. Nicolsona; Włochy markiza Visconti-Venostę; Austrya ambasadora swego w Madrycie hr. Welserheimba i hr. Koziebrodzkiego; Rosya hr. Cassiniego i Bachracha; Stany Zjednoczone Whitea i Gummerea.

Są to po większej części ambasadorowie w Madrycie. Na konferencyi jest 12 mocarstw europejskich reprezentowanych; niektóre mają po dwóch, inne po jednym tylko przedstawicielu. W obradach biorą udział jedynie właściwi reprezentanci mocarstw, towarzyszący im zaś attachés i rzeczoznawcy dopiero w miarę potrzeby. Sułtan marokkański ma aż trzech przedstawicieli, z których każdy nazywa się Mahomet, tylko z innym dodatkiem: El Torres, El Mokhri i El Safar. Załączona rycina przed-



W Algesiras: Reprezentacya dyplomatyczna Francyi na konferencyi marokkańskiej w Algesiras, z ambasadorem Revoil pośrodku.


Stan wojenny w Warszawie (Ryc. I.) Patrol na ulicy Miodowej.


Stan wojenny w Warszawie (Ryc. II.): Patrol na ul. Wierzbowej.

stawia Mahometa El Mokhri w chwili jego wyjazdu z Marokko do Algesiras.

Druga rycina przedstawia delegacyę francuskę w Algesiras; pośrodku siedzi ambasador Revoil, mając po prawej p. Billy, po lewej p. de Chèvisey, z tyłu stoją pp. Jessé Currelly i komendant Codet.

Konferencya w Algesiras wywołała niezadowolenie w Marokku, jest bowiem obrażającą dla kraju rzeczą iż tyle mocarstw miesza się do jego spraw. Dyplomaci, najlepiej znający stosunki, są zgodni w zapatrywaniu, że konferencya, jakikolwiek będzie jej wynik, pogorszy tylko sytuacyę w Marokku.

Stan wojenny w Warszawie.

„Zniesiony"!

Taki tytuł dawały pisma warszawskie naczelnym artykułom w dniu 2 grudnia z. r., donosząc o zniesieniu stanu wojennego.

Nie długo jednak przyszło się cieszyć przerwą wolnościową, tembardziej, iż krótki jej okres nie był wolny od środków t. zw. „ochrony wzmocnionej", zasadzającej się na pogotowiu wojskowem, w razie potrzeby natychmiast powoływanem na miejsce rozruchów.

W czasie tym zaszedł jedyny tylko wypadek, potępiony taksamo przez zachowawcze, jak i przez najskrajniejsze socyalne partye, tj. rzucenie bomb przez anarchistów-komunistów do wnętrza kawiarni Bristol. Pozatem było wszędzie spokojnie, ożywiał się ruch handlowy, przemysłowy, towarzyski, polityczny — z uwagi na bliskie wybory; tak, że prawdziwą niespodzianką było dla Królestwa Polskiego i Warszawy ogłoszenie, jakby na opłatek, w dniu 22 grudnia ponownego stanu wojennego, który trwa już przeszło miesiąc i potrwa jeszcze, Bóg wie, jak długo.

We wszystkich dziesięciu guberniach ustanowiono czasowych generał-gubernatorów wojennych, w Warszawie gen. Weissa, w Łodzi gen. Szatiłowa. Ogłoszono wszędzie przepisy i zarządzenia czasowe, objęte 26 punktami, zabraniające zebrań, sprzedaży rewolwerów, pistoletów, nabojów, noszenia i przechowywania wszelkiej broni, nożów, urządzania pochodów, manifestacyj, spis niedozwolonych rewolucyjnych śpiewów („Boże coś Polskę", „Z dymem pożarów", „Jeszcze Polska nie zginęła", „Czerwony Sztandar", „Warszawianka" i innych), sprzedaży ulicznej gazet, pism, broszur. Na żądanie policyi okna i balkony mają byc zamykane. Za dany z domu wystrzał lub rzucony pocisk odpowiadają właściciele, rządcy i mieszkańcy domów, a nawet stróże, osobiście i majątkiem Szyldy, napisy, afisze, programy, etykiety i wszelkie ogłoszenia mają zawierać taki sam tekst rosyjski obok polskiego a to pod karą 3000 rubli lub trzymiesięcznego więzienia.

Za temi poszły dalsze jeszcze rozporządzenia obostrzające swobodę aż do noszenia lasek, zamykania sklepów, cukierń mniejszych i kawiarń o 9, innych o 11 wieczorem.

Taki sam stan rzeczy panuje i na prowincyi.

W wykonaniu rozporządzeń generał-gubernatorów wojennych w pierwszym rzędzie bierze udział wojsko, którego załogi wzmocnione odbywają w dzielnicach miejskich nieustanne całodzienne a i nocne patrole, czy to konnica czy piechota.

Patrole te, złożone z oddziałów od 10—40 i 50 ludzi, przeciągają już to środkiem ulic, już to w zbitych rzędach, najczęściej dwójkami, jak to widzimy na ilustracyi I. (ul. Miodowa) lub też trójkami i czwórkami, jak wskazuje ilustracya III na Placu Zamkowym, lub też „gęsiego" dwoma szeregami wzdłuż obu chodników, jak to widzimy na ilustracyi II, na ul. Wierzbowej.

Patrole te, z ostrymi ładunkami nabitą bronią, konni, z nahajami w ręku, śledzą bacznie ruch uliczny, każdej chwili gotowi do natarcia.

Niebezpieczniejsze jeszcze są takie patrole w nocy, szczególniej, gdy idą we dwóch lub trzech sami szeregowcy, bez podoficera nawet. Od chwilowej ich fantazyi zależy wtedy zażądać od przechodnia tak samo „papierosków", „diengów", jak „pasportu", zegarka lub... życia. Wobec tego ruch wieczorny zamiera już od godz. 9 wieczorem, a ulice i place Warszawy zalega smutna, cmentarna cisza, przerwana od czasu do czasu tu i ówdzie echem wystrzału karabinowego. *Bejot.*


Stan wojenny w Warszawie (Rycina III.): Patrol na placu Zamkowym.

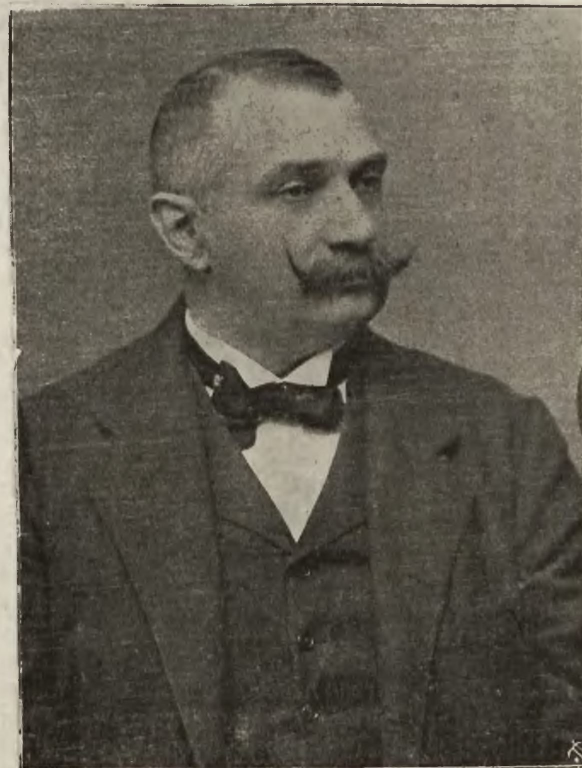
Jubileusz obywatelskiej pracy.

W ubiegłym tygodniu obchodził poseł sejmowy i marszałek powiatu mieleckiego, Stefan Sękowski, jubileusz dwudziestopięcioletniej pracy obywatelskiej; uroczystość jubileuszowa, która zgromadziła przedstawicieli wszystkich stanów: duchowieństwa, władz rządowych, szkół, miast, włościan i obywatelstwa, była dowodem, jak dużą popularnością cieszy się poseł Sękowski w powiecie.

Zasłużona to popularność, bo jubilat odznacza się wszystkiemi zaletami umysłu i charakteru, a w czasie swej obywatelskiej służby położył dla kraju, zwłaszcza zaś dla powiatu, w którym pracuje, niespożyte zasługi. Uznanie za tę działalność znalazło wyraz w licznych przemówieniach, wygłoszonych podczas uroczystości przez posła dr. Hupkę, Jana hr. Tarnowskiego, ks. dr Kopycińskiego, kilku włościan, między tymi członka rady powiatowej, ludowca Kłody, który swe przemówienie zakończył słowy: „niech będzie jedność i zgoda i niech żyje z polską szlachtą polski lud!" Była też ta uroczystość istotnie dowodem jedności i zgody, jaka mimo panującego wszędzie rozstroju stosunków społecznych, w powiecie mieleckim na każdym kroku się objawia.

Obywatelstwo powiatu wręczyło jubilatowi na pamiątkę uroczystości prześliczne album, wykonane według pomysłu artysty Wyspiańskiego, a ozdobione kartami, malowanemi przez naszych artystów-malarzy: Malczewskiego, Stachiewicza, Brylla, Pociechę, Piotrowskiego, Aksentowicza, Kossaka i innych. W albumie są też fotografie z podpisami uczestników zebrania a towarzyszy pracy autonomicznej jubilata.

W uzupełnieniu niniejszej notatki z okazyi obchodu dwudziestopięciolecia działalności posła Stefana Sękowskiego w uczciwej służbie dla kraju i społeczeństwa, podajemy poniżej portret marszałka-jubilata, według ostatniej fotografii.


Fot. E. Trzemeski Lwów.
Jubileusz obywatelskiej pracy: Stefan Sękowski, poseł sejmowy i marszałek pow. mieleckiego.

Plotki lwowskie.

Rozmowa z moim sąsiadem p. Telesforem w kawiarni Monopol. — Jego poglądy na policyę. — Defraudanci nie uciekajcie. — Kontrakt z defraudantem. — Pępek w piwnicy. — Obywatel a kryminał. — Dobroczynna pani. — Pawlikowski jest za mało kobietą. — Zasady. — Profesor a pacyent. — Fałszywe leczenie. — Zasada p. Wojciecha — Bilety, które są, a których niema — Gdzie trzyma p. Wojciech bilety i jak je stamtąd wyrwać można? — Czy milczenie jest złotem? — Mowa pana Telesfora jest srebrem. — Co radni pokazują wyborcom? — Miłość i jej figle. — W braku lepszych tematów.

— Bo ta policya nasza, proszę pana — mówił mi wczoraj mój stary sąsiad, pan Telesfor — to tak: Na polityce rozumie się, panie dzieju, jak sam minister, ale jak przyjdzie wytropić złodzieja, to wszyscy chorują na kurzą ślepotę. Ot gdybyś pan im przyłapał złodzieja, związał sznurami i oddał policyantowi, to przystąpi delikatnie i dyplomatycznie pokiwa głową, a potem, spróbowawszy, czy złodziej dość mocno skrępowany, zawoła: „W imieniu prawo harytyruji pana“ i poprowadzi go ze sobą, przyczem nie jest wykluczonem, że mu nawet tak mocno skrępowany złodziej ucieknie po drodze, zanim dojdzie na inspekcyę.

— Jest w tem wiele prawdy — mówię — ale też i wiele przesady.

— Ależ proszę pana, jaka przesada, gdzie pan tu ma przesadę, weź pan tylko ten bank krajowy, z tą kradzieżą w biały dzień, wobec tylu ludzi! Taka policya wiedeńska, proszę pana, byłaby już dziś dawno miała w swoich murach i złodzieja i spólników, a może nawet byłoby już po rozprawie sądowej; a u nas czeka się, aż panie dzieju puści wszystkie pieniądze, a potem, gdyby się przypadkiem sam zdradził, to taki szpicel jest do brania nagrody. Boję się tylko, że już nawet tyle nie odbiorą ile sama nagroda wynosi. Ja zawsze mówię swoje: głupio robią defraudanci, jeśli po defraudacyi uciekają. Tu siedzieć, mieniać pieniądze, bawić się, czytać, co piszą i mówią o kradzieży, i śmiać się w kułak do rozpuku, ot, wskazówka dla de f audantów...

— Słowa pańskie, panie Telesforze, są tak zachęcające, że zaczynam się rozglądać za jakąś tłustą kasą...

— Ale panie i z chudej kradną. Bierz pan np. tę ostatnią defraudacyę w magistracie lwowskim. Trzeba się tylko mądrze umieć urządzić, a liczyć można śmiało na naiwność policyi. Czy np wytropili tego faceta eleganckiego, który chciał za pomocą fałszywych dokumentów wyłudzić grubszą kwotę od zakładu kredytowego? Dobrze, że Steczkowski nie w ciemię bity i nie śpieszył się z wypłatą, ale coby było, gdyby był wypłacił? Awantury w banku, frajda dla dzienników i śmiech w policyi. I nuże wyznaczać nagrodę i wszystko na nowo, jak zawsze. Tylko z tą nagrodą nie podoba mi się ustanawianie tak małych nagród. Mogą być spokojni, że policya nie wyszuka złodzieja i dlatego powinni wyznaczyć połowę szkody. A wiesz pan, kto wziąłby nagrodę?

— Złodziej.

— Tak jest, złodziej. Pomyślałby bowiem: mam ja mieć 20 000 i mieć wyrzuty t. zw. sumienia, to ja sobie wolę mieć 10 000 sprawiedliwie zarobionych niby na konkursie, czy coś takiego. Ot, byłby to zwykły kontrakt z oszustem: wziąłeś bracie grubą kwotę, bo ci się udało buchnąć; oddaj połowę, a drugą połowę schowaj dla siebie, co ci się za twój spryt rzetelnie należy.

— A zatem gloryfikacya oszustwa z gratyfikacyą złodzieja?

— Nie, to policzek policyi za to, że się, panie dzieju, zna na polityce, a na kradzieżach i wytropieniu złodzieja tyle się rozumie, ile szwajcarska krowa na westfalskiej szynce. Albo, proszę pana, ta Pępek w piwnicy...

— Pępek w piwnicy? Pierwszy raz słyszę, cóż to takiego?

— A nie czytał pan o tej babie, którą zamknięto w piwnicy?

— Aha...

— No i proszę pana, ile razy tamtędy przechodzi policya? Czy ją kto usłyszał? Aż dopiero trzeba było szczęścia, ażeby przypadkiem jakaś kobieta zameldowała o tem policyantowi. Nasza policya jest zawsze ostatnią, która się o czemś dowiaduje i to zawsze zapóźno...

— O, pardon, np. co do Majewskiej, to dowiedziała się jeszcze przed urodzeniem drugiego dziecka.

— No tak, kpij pan sobie, ale to święta prawda. Policya dowiaduje się z dzienników, od osób prywatnych, z listów anonimowych i nikogo pan tak łatwo nie wprowadzi w błąd, jak policyę.

— Dajmy już pokój tej policyi, bo nas gotów podsłuchać jaki szpicel i idziemy do kryminału.

— Oj, to prawda; po kawiarniach włóczą się te szpicle, jak komary w lecie, a do kryminału dostać się u nas łatwo.

— Domyślam się, że pan mówi o aresztowaniu Frischa w sprawie winnickiej...

— Proszę pana, bo dokąd my zajdziemy, jeśli wolno będzie pierwszego lepszego obywatela, choćby najuczciwszego, zamknąć w kryminale dlatego tylko, że może on coś będzie mógł powiedzieć o tej sprawie jako świadek, bez względu na to, czy wie coś o tem, czy nie. Na razie chodź bracie do kryminału i czekaj, aż pan sędzia śledczy skończy dochodzenia i przystąpi do przesłuchania. Gdyby się potem pokazało, żeś jako świadek nic nie miał do powiedzenia, to cię po kilku tygodniach wypuszczą i nawet nie powiedzą: przepraszam. I owszem, każą ci jeszcze podziękować władzy, że cię na wolność wypuściła.

— Sądzę jednak, że taki wypuszczony z kryminału świadek czuje się potem ogromnie szczęśliwy i umie ocenić wolność...

— Chyba więc tylko dla zaostrzenia apetytu do austryackiej wolności zamyka się niewinnych obywateli, to, panie dzieju, może dobre w Kamerunie, u Kafrów, u Hottentotów, ale nie u nas, w Europie, to skandal!

— Panie Telesforze, bo nas podsłuchują.

— Czy tylko niema jakiegoś reportera, bo taki to panu to ubi rze w swoje piórka...

— W swoje??

— No w swoje, czy nie swoje, ale zawsze nie w moje, bo dodaje od siebie połowę i puszcza taką pstrokaciznę w świat.

— Nie mówmy o tem.

— Także mo napadają na tę kobiecinę, która obchodzi różne domy, zbierając datki dla biednych.

— Ale zarzucają jej, że zbiera dla siebie.

— Wierz mi pan, że pani namiestnikowa nie chodzi zbierać dla siebie, bo nie potrzebuje a skoro tamta chodzi, to pewnie żyje w nędzy. Przecież nie powie: proszę o datek dla mnie, bo jej albo nic nie dadzą, albo bardzo mało. A ona, widzi pan, jest znakomitym psychologiem, wie, że *mundus vult decipi*, ubiera się elegancko i mówi, że zbiera dla biednych. Czy jest w tem co złego? Chyba tylko że posługuje się ową *mensonge oficieuse*, tem kłamstwem z konieczności, a ja tego za złe jej brać nie mogę. I owszem, zbiera dla siebie, więc przynajmniej wiem, że ona jest w potrzebie i jej grosz ten się zostanie, podczas gdy kiedyindziej istotnie zbierają różne panie dla innych biednych, a grosz dostaje się temu, który najmniej go potrzebuje, a największą miał protekcyę u swoich protektorek.

— Z pana to naprawdę dynamitem nadziany rewolucyonista, słusznie żona pańska nazywa pana anarchistą, nih listą...

— A najczęściej waryatem. Ale co to z babami gadać! Mam to wrażenie, że u kobiet w głowie nie zawsze jest wszystko uporządkowane. Moja żona np. kiedyś to pokłóciła się ze mną o teatr. Powiadam, żebym był za tem, ażeby nadal został Pawlikowski, a ona ni w pięć ni w dziewięć, jak nie zacznie wymyślać i mnie i Pawlikowskiemu, powiadam panu: Pawlikowski ma szczęście, że go przy tem nie było.

— I cóż mu takiego zarzuca?

— Nie uwierzysz pan: powiada, że on jest za mało kobietą! Powiada, że tylko energiczna kobieta mogłaby teatr dobrze prowadzić, a Pawlikowski — powiada — jest jeszcze przecież mężczyzną.

— Hm...

— Wiem, że się to panu śmiesznem wydaje, ale tak już u niej jest. Ona ma swoje zasady. No, proszę pana, są ludzie bardzo poważani we Lwowie, a jednak w zasadach swoich bywają naiwni. Sam się o tem przekonałem. Byłem zeszłego roku bardzo poważnie chory. Czułem, że lada chwila wykichnę życie. Nie lubię lekarza, ale jak już śmierć panie zapuka, to jak ten tonący, panie, chwyta się człowiek scyzoryka. Walę więc fiakrem do jednego z tutejszych profesorów, bo wołać go do siebie byłoby za drogo i przedstawiam mu wszystko. Opukał mnie, każde niemal miejsce, pokiwał nosem i mówi: „Wszego panu powiedzieć, że już teraz kiepsko z panem, pan najdłużej jeszcze pociągnie dwa miesiące“. Powiadam panu, myślałem, że mnie śmierć rąbnie na miejscu. Przychodzę do domu, odrazu siadam do stołu, drżącą ręką spisuję testament, a żonie polecam, by zwołała wszystkich bliższych krewnych. Krewni zjechali się, a między nimi kuzyn żony, młody lekarz, który także miał gust zabrać się do badania, ale nie pozwoliłem mu. Po długich namowach dałem się jeszcze raz zbadać, a ten zapisuje mi jakieś lekarstwo i radzi spróbować, bo i tak nie mam już co stracić. I co pan na to powie, zażyłem lekarstwo i —

— I wyzdrowiał pan?

— Nie umarłem! Przecież mnie pan widzisz! Ale nie o to chodzi. Po dwóch miesiącach byłem zupełnie zdrów, a jakoś przed tygodniem spotykam owego profesora w kawiarni. Przystępuję, przypominam się i mówię: No, wbrew dyagnozie pana profesora, nie umarłem dotąd, ale owszem żyję i jestem zdrów jak ryba. Popatrzył na mnie i powiada: Prawda, prawda, przypominam sobie dokładnie — no i pan z tego wyzdrowiał — w takim razie pana fałszywie leczono — mówi profesor z największym spokojem. Widzisz pan, to jest zasada....

— Jak mur....

— Albo jeszcze silniejszą jest zasada tego Wojciecha teatralnego. Moje córki — a mam ich, jak panu wiadomo, pięć — chodzą do teatru często, ale chodzą na trzeci balkon. Ten Wojciech to sprytny człek i każdy wie o tem, że Wojciech jest szczerym wyznawcą rosyjskiego przysłowia: na to ci człecze Bóg dał ręce, żebyś brał. Nic by w tem złego nie było, bo szstka mniej lub więcej nie robi takiej różnicy, ale ten Wojciech wyśrubował teraz ceny do takiej wysokości, że nadwyżka równa się całej cenie biletu. Bilet za dwie korony kosztuje u Wojciecha cztery, a najciekawsze, że siedzi w kasie kasyer, który nigdy nic nie ma na sprzedaż. Kiedy się przyjdzie po bilety — niema już.

— No, bo wysprzedane.

— Gdzie tam, panie, on od tego zaczyna, on bilety odrywa i trzyma je pod siedzeniem. Ma już kanalia swoich stałych odbiorców i ci nadpłacają grubo, chcąc otrzymać bilet.

— Dużo o tem teraz mówią i piszą....

— A dyrekcya siedzi cicho, przecież to, proszę pana, jest rzeczą dyrekcyi raz wglądnąć w to — jak ją słusznie nazwano — czarną magię. Bo, proszę pana, ten Wojciech, to naprawdę magik, jak chce, to nie ma biletów, a na zaklęcie srebrnika już ma. Gdyby się zaś pokazało, że nadwyżka ofiarowana jest za mała, to znów biletów nie ma, już na nich siedzi Wojciechowa figura...

— A stamtąd tak trudno wydostać?

— I tramwajem stamtąd nie wyciągnie, proszę pana; córki sześć razy w ostatnim miesiącu miały pójść na operę i musiały zostać w domu.

— Bo Wojciech siedzi na biletach.

— Nie siedzi, bo on je potem wypuszcza i proszę pana to się dzieje pod okiem dyrekcyi, która o tem wie i milczy.

— Milczenie jest złotem.

— Nie zawsze, panie, nie zawsze; gdybym ja, panie, tyle miał złota, ile umiem milczeć, to połowa kamienic lwowskich należałaby dziś do mnie.

— Ale znów mówią, że mowa jest srebrem, a więc analogicznie, jeżeli szanowny mój sąsiad tyle mówi zawsze, ile dziś, to powinny wszystkie lwowskie kamienice do niego należeć, a nie połowa.

— I to panie przesada, bo weź pan naszych radnych niektórych; ile tam się gada, to aż doprawdy człowiekowi bębenki w uszach furczą ze zmęczenia.

— Od tego są przecież rajcami i muszą coś wyborcom pokazać.

— Oni też rzeczywiście wyborcom tylko coś pokazują....

— Panie Telesforze, nie urągać....

— Wierz mi pan, z tem radziectwem jak z miłością. Jedni z miłości umierają, drudzy żyją z miłości. Tylko widzę, że pan się już zrywa, czy pan do domu?

— Tak jest, późna godzina, a ja mam jeszcze narysować.... fejleton dla „Nowości“.

— Panie, porusz pan coś o tym Wojciechu.

— W braku lepszych tematów całą naszą rozmowę przytoczę...

— A niech pana kule biją!

— Nawzajem, nawzajem....

K.





Skandaliczny proces w Wiedniu: Wanda hrabianka Łubieńska.

Skandaliczny proces w Wiedniu.

Dzienniki wiedeńskie, a za nimi i polskie, przyniosły przed paru dniami wiadomość o nowym skandalicznym procesie we Wiedniu. Bohaterką jego jest, niestety, osoba o polskiem, pięknem nazwisku i polskiego pochodzenia — uroczo piękna Wanda hrabianka Łubieńska, której portret znajdą czytelnicy powyżej.

Oskarżyła ona przed sądem wiedeńskim dwie kobiety o to, iż obraziły jej cześć propozycyą nawiązania stosunków z pewnym człowiekiem. Proces toczył się w sądzie powiatowym w dzielnicy Josefstadt, a zakończył się zasądzeniem jednej z oskarżonych na 500 koron grzywny, względnie 14 dni aresztu. Druga oskarżona na rozprawie się nie jawiła i przeciw niej odbędzie się nowa rozprawa; równocześnie wkroczyła prokuratorya państwa i oskarżyła obie podsądne o kuplerstwo.

W prawdzie tedy rozprawa, o której mowa, zakończyła się zasądzeniem oskarżonej, nie mniej jednak wyszły przytem na jaw szczegóły, które opinii hr. Łubieńskiej bynajmniej nie ratują. Zeznała mianowicie oskarżona Bergerowa, iż publiczną jest tajemnicą, że hrabianka Łubieńska podobne propozycye, jak ta, które ona jej uczyniła, niejednokrotnie przyjmowała, że znanym jest nawet adres osoby, u której się tego rodzaju schadzki miłosne odbywały.

Wanda hr. Łubieńska, osoba młoda a prześliczna i wspaniałej budowy ciała, znaną jest także bardzo szeroko we Lwowie, gdzie przez lat kilka wraz z matką mieszkała. Sposób prowadzenia się tej prześlicznej hrabianki był też we Lwowie bardzo częstym tematem skandalicznych opowiadań. Karyerę swą rozpoczęła „piękna Wandzia" — jak opowiadają — w Zakopanem, gdzie względami jej cieszył się znany swego czasu we Lwowie dr. J. O., obecnie przebywający podobno w Ameryce. We Lwowie liczba „przyjaciół" hr. Łubieńskiej była bardzo znaczna, zbyteczne zaś dodawać, że pochodzili oni ze sfer arystokratycznych a przynajmniej najzamożniejszych. Wymagała tego zapewne „błękitna krew" pięknej hrabianki. Mniej więcej przed trzema laty p. Łubieńska opuściła Lwów i zamieszkała we Wiedniu. Wyjeżdżała też podobno na „gościnne występy" do Paryża i Londynu.

Wiadomość o procesie wiedeńskim wywołała we Lwowie ogromną sensacyę oraz zdziwienie. Nikt też tam chyba nie wątpi, że we Lwowie na tego rodzaju proces hrabianka Łubieńska nie byłaby się — ze względu na swą opinię — odważyła.

Uwięzienie fałszerza dokumentów we Lwowie.

Głośną i znaną była przed dwoma laty w całym kraju sprawa sfałszowania mnóstwa dokumentów przez niejakiego Jana Putyrę vel Połotyńskiego, którego portret znajdą czytelnicy obok w numerze niniejszym.

Jak wiadomo, podrobił on sobie świadectwa z egzaminów państwowych prawniczych na uniwersytecie w Krakowie i na tej podstawie został mianowany auskultantem sądowym. Dopiero po pewnym czasie oszustwo wyszło na jaw, Połotyński został aresztowany, ponieważ jednak lekarze-znawcy stwierdzili u niego zboczenie umysłowe, sąd karny uwolnił go od odpowiedzialności.

W zeszłym tygodniu został Połotyński ponownie aresztowany, tym razem we Lwowie, stwierdzono bowiem, że popełnił on nowe fałszerstwo dokumentów. Na podstawie mianowicie sfałszowanego reskryptu namiestnictwa i odezwy urzędu parafialnego św. Maryi Magdaleny we Lwowie, uzyskał on w Tarnopolu w urzędzie parafialnym, przedstawiwszy się jako pełnomocnik książąt Radziwiłłów, wypis



Fot. T. Bahr nowicz Lwów.
Uwięzienie fałszerza dokumentów we Lwowie: Jan Putyra vel Połotyński.

dodatkowy metryki chrztu 9-letniego syna tej rodziny, który n. b. nigdy nie istniał, linia ta bowiem ks. Radziwiłłów jest bezdzietna. Fałszerstwo wyszło przypadkiem na jaw, a policya lwowska, zawiadomiona o fakcie przez prokuratoryę państwa, rozpoczęła energiczne i wyjątkowo pomyślnym uwieńczone skutkiem dochodzenia, których rezultatem jest uwięzienie Połotyńskiego, jako sprawcy fałszerstwa. Przy rewizyi, jaką w pomieszkaniu Połotyńskiego przeprowadzono — a dodać należy, że



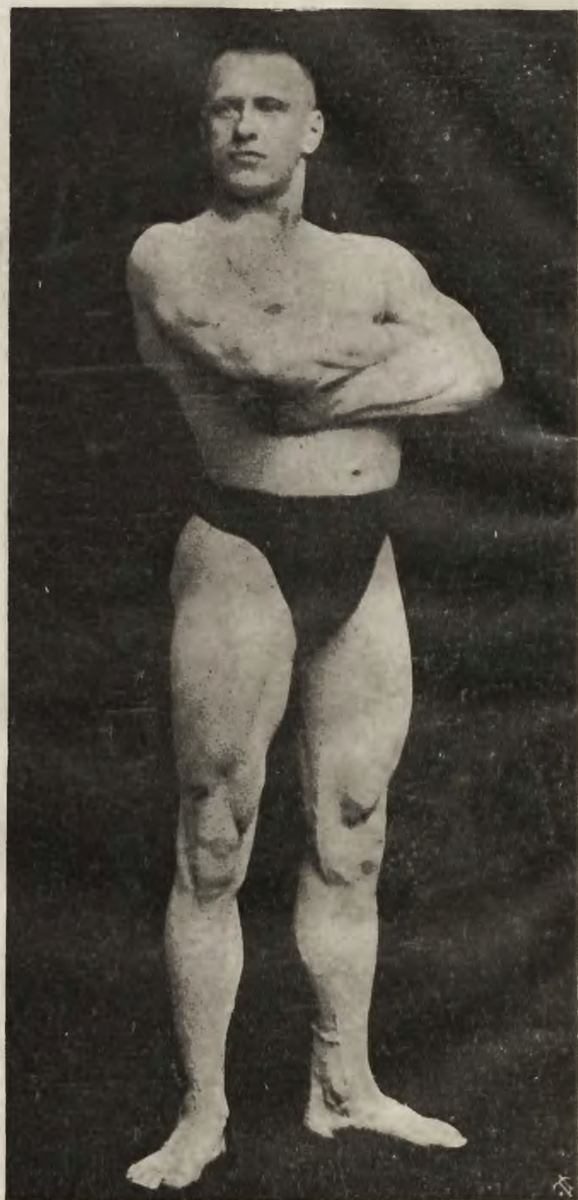
Fot. M. Müntz Lwów.
Uroczystość Jordanu we Lwowie: Akt poświęcenia przez metropolitę ks. Szeptyckiego wody w studni na Rynku.



Atleci w Krakowie: Franciszek Bieńkowski, zwany Cyklopem.



Atleci w Krakowie: Stanisław Zbyszko Cyganiewicz.



Atleci w Krakowie: Jerzy Lurich.

żył on pod nazwiskiem Janusza Korybut Woronieckiego — znaleziono mnóstwo podrobionych pieczęci najrozmaitszych władz i urzędów, niezliczoną moc dokumentów i wyciągów metrykalnych, oraz wspaniałą bibliotekę dzieł heraldycznych i herbarzy. Fałszerstw swych bowiem dokonywał Połotyński z ogromną precyzyą, rozwijając przy tej robocie niezwykły, imponujący spryt i opierając się na bardzo dokładnych i szczegółowych studyach.

Co do fałszerstwa ostatniego, Połotyński podał podczas przesłuchania w śledztwie, że żal mu było tej linii rodziny Radziwiłłów, wymierającej bezpotomnie, postanowił więc „dorobić“ im potomka i dziedzica fortuny.

Mniej skomplikowanego fałszerstwa dopuścił się Połotyński w swoim już własnym interesie, także w ostatnich czasach. Sfałszował sobie kilka świadectw i polecenie od ks. Sapiehy, a wykazawszy się temi dokumentami dyrektorowi gal. Kasy Oszczędności we Lwowie, otrzymał tam posadę dyetaryusza. Być może, że w ciągu dalszego śledztwa wyjdą na jaw inne jeszcze jego sprawki.

Interesującą zaś w całej tej sensacyjnej historyi rzeczą jest to, iż według ogólnej opinii, Połotyński jest człowiekiem anormalnego umysłu, fałszerzem-maniakiem. W każdym razie okazał on się w tym „fachu“ mistrzem nad mistrzami, niesłychanie sprytnym i utalentowanym.

Uroczystość Jordanu we Lwowie.

Z wielką, prawdziwie wschodnią pompą i okazałością, przy udziale tysięcznych tłumów ludności, odbywa się corocznie we Lwowie uroczystość Jordanu, święta obrządku grecko katolickiego. W tym roku uroczystość ta wypadła tem wspanialej, że towarzyszyła jej przecudna, wiosenna, o tej porze niebywała, pogoda. W świetle więc jasnych, złocistych promieni słońca, na tle błękitu nieba, prześliczny tworzyła widok nieprzeliczona masa ludności, a wśród niej duchowieństwo ruskie, w złociste przybrane szaty, prawdziwy las różnobarwnych chorągwi i sztandarów bractw cerkiewnych.

Uroczystość rozpoczęła się — jak zwykle — w cerkwi przy ul. Krakowskiej, skąd następnie ruszyła olbrzymia procesya, prowadzona przez metropolitę ks. Szeptyckiego. Wzięli w niej udział również dygnitarze świeccy w paradnych uniformach, z namiestnikiem Potockim na czele, oraz wojskowość z generalicyą. Najważniejszym punktem uroczystości Jordanu jest poświęcenie przez metropolitę wody w jednej z czterech studni w rynku, dokąd procesya podążyła. Podczas aktu poświęcenia — którą to chwilę wyobraża załączona fotgrafia — honorowa kompania wojska oddała kilka salw, poczem procesya powróciła do cerkwi.



Atleci w Krakowie: Akim Iwanowicz Pugaczow.

Atleci w Krakowie.

Zapaśnictwo, sięgające swymi początkami aż do igrzysk olimpijskich, jest jednym z najszlachetniejszych rodzajów sportu. Ludzie silni, dobrze zbudowani, zawsze będą nam imponowali: tem też tłómaczy się fakt, że zapasy atletów budzą zawsze szczególne zajęcie, co najlepiej obserwować można obecnie w Krakowie, gdzie w Cyrku Sarassani'ego odbywają się od dwóch już tygodni mocowania. Bierze w nich udział kilkunastu mistrzów zapaśnictwa znanych i uznawanych nie tylko u nas, ale daleko poza granicami naszego kraju. Na czele ich stoi dobrze Krakowianom znany i taką w Krakowie cieszący się popularnością, Stanisław Cyganiewicz-Zbyszko, światowa sława. Jest on dzieckiem Krakowa, związanem z naszem miastem nie tylko wspomnieniami z lat szkolnych, tu bowiem kończył gimnazyum, ale serdeczną nicią przyjaźni i sympatyi Krakowian, którzy patrzyli na pierwsze jego występy atletyczne, którzy go dobrze znają i kochają. Samo nazwisko Cyganiewicza na afiszach cyrkowych wystarcza, aby na każdem przedstawieniu widownia wcale wielkiego cyrku wypełniła się po brzegi. Szczególną zaś sympatyą cieszy się p. Cyganiewicz wśród młodzieży, wśród której ma wielu znajomych i przyjaciół ze szkolnej ławy; młodzież go uwielbia poprostu i, zaiste, krucho miałby się u nas atleta, któryby Zbyszka powalił. Młody, bo zaledwie 24 lat liczący, p. Cyganiewicz ma przed sobą świetną przyszłość.

Nie mniejszą popularność zdobył sobie w krótkim stosunkowo czasie, bo w ciągu tygodnia zaledwie, atleta rosyjski, Jerzy Lurich. Postać to nadzwyczaj sympatyczna; wysoki, szczupły, ruchliwy i zwinny jak wiewiórka, o twarzy młodej, bez zarostu, uposabia dla siebie samym zewnętrznym wyglądem każdego jak najlepiej. Odznacza się kolosalną siłą i śliczną budową ciała. Posiada

przytem doskonałą szkołę zapaśniczą, jest więc obok Cyganiewicza jedną z największych atrakcyi zapasów. Lurich urodził się w Rewlu w roku 1878. Na arenie zapaśniczej wystąpił po raz pierwszy w roku 1897 w Petersburgu. Walczył potem w kilkunastu stolicach europejskich, zdobywając wszędzie frenetyczne oklaski i odznaczenia. Podczas ostatnich wielkich zapasów w Wiedniu wziął naspółkę z Cyganiewiczem pierwszą nagrodę. Waży stosunkowo do innych atletów nie dużo, bo zaledwie 90 kilogramów.

Co do siły, z pomiędzy wszystkich atletów, walczących w cyrku Sarassani'ego, na pierwszy plan wybija się Franciszek Bieńkowski, jak już z nazwiska widać, Polak z urodzenia. Zagranicą znany jest pod nazwiskiem Cyklopa. I rzeczywiście, człowiek to w dzisiejszych czasach niezwykły. Zbudowany jak istny Herkules, ma taką kolosalną siłę w piersiach i muskułach, że rozrywa piersiami łańcuchy, pokaźnej grubości i wytrzymałości, łamie w palcach pieniądze, nawet tak drobne, jak 20-halerzówka. O ile jednak co do siły przewyższa stanowczo wszystkich swoich przeciwników, o tyle dzięki swej grubości nie jest tak straszny jako zapaśnik. Zwyciężyli go bowiem szkołą atleci znacznie od niego słabsi, jak np. Lurich. Zwyciężył go również Cyganiewicz. Bieńkowski urodził się w roku 1867 w Tomkach w Poznańskiem, liczy więc dzisiaj lat 38. Jako 18-letni młodzieniec wyjechał do Anglii, poczem jako siłacz i zapaśnik występował w Ameryce północnej, w Brazylii, Francyi, Belgii, Holandyi, Hiszpanii, w Afryce, w Rosyi i wogóle w całej Europie, zdobywając sobie wszędzie rozgłos i sławę. Dzisiaj posiada już 70 orderów, zdobytych w zapasach atletycznych. Waży 130 klg; wysoki jest 1 metr 70 cm; szeroki w piersiach 1 m. 40 cm. O muskułach jego mogą dać pojęcie następujące cyfry: muskuły u rąk mają 53 cm., u nóg 75 cm. szerokości.

Powszechną uwagę zwraca również kozak, Akim Iwanowicz Pugaczow. Atleta to olbrzymi, imponujący samym choćby wzrostem.

Ruch wyborczy w Warszawie: Przed lokalem komitetu przedwyborczego w szkole imienia Konarskiego na Lesznie: zupełna pustka, mimo godziny najdogodniejszej dla prawyborców.

Ruch wyborczy w Warszawie: Na Nalewkach wśród zwykłego ruchu handlowego nie daje się wcale zauważyć ożywienia przedwyborczego.

Urodził się w Rostowie nad Donem w roku 1871. Walczy od lat 11. Posiada 10 orderów, zdobytych w walkach w największych stolicach europejskich. Waży 100 klg. W Krakowie zwyciężył zapaśników takiej sławy, jak Ettinger, Janko, Danziger i inni.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok portrety wyżej wymienionych atletów. W numerze następnym podamy portrety innych zapaśników, oraz kilka, umyślnie dla nas zdjętych, fotografii z ich zapasów.

Ruch wyborczy w Warszawie.

Warszawa dzisiejsza nie pamięta już ostatnich wyborów do sejmu Królestwa Polskiego w r. 1826, a tak samo do historyi należą wspomnienia dawniejszych jeszcze elekcyj królewskich, od Henryka Walezego począwszy, a na Stanisławie Auguście przy asyście wojsk „najjaśniejszej imperatorowej“ skończywszy.

Zatem w 80 lat po ostatnich sejmowych powołane zostało Królestwo Polskie, na mocy manifestu konstytucyjnego i rozszerzonej ordynacyi wyborczej, po raz pierwszy znowu do powszechnych wyborów, tym razem 36 posłów... do Izby państwowej w Petersburgu.

Obecnie całe Królestwo, a w pierwszym rzędzie Warszawa rozpoczęła od tygodnia akcyę przedwyborczą, bierną w pierwszej swej połowie, dotyczącej ułożenia list prawyborców na zasadzie opłacanych podatków, — czem zajął się z urzędu magistrat — i czynną, polegającą na zgłoszeniu się o prawo głosowania tych wszystkich, którzy muszą legalnie udowodnić, iż przynajmniej rok cały opłacają jako mieszkańcy Warszawy, czynsze od 240 rb. począwszy.

Dla przyjmowania tych zgłoszeń i prowadzenia dalszej akcyi wyborczej powołał prezydent miasta jen. Bibikow specyalny komitet wyborczy z grona obywateli. Tenże na wstępnem zebraniu wskazawszy na brak swobody słowa, prasy i zebrań, jakoteż na wszystkie inne, ze stanem wojennym związane, trudności i niebezpieczeństwa domagał się zniesienia na czas wyborów stanu wojennego. Odpowiedź naczelnika kraju gen.-gub. Skałłona wypadła odmownie. Mimo to komitet tzw. obywatelski z uwagi na doniosłość reprezentacyi Królestwa Polskiego w Izbie państwowej, podjął i rozpoczął swe prace, podzieliwszy się na 12 komisyj przedwyborczych okręgowych (cyrkułowych) i w odpowiednio wybranych na ten cel lokalach urzęduje codziennie od tygodnia, przyjmując deklaracye od zgłaszających się kandydatów na prawyborców.

Wielu obywateli odstraszały ścieśnienia stanu wojennego, licznie przeprowadzane na ulicach rewizye przechodniów, tramwajów, dorożek nawet, jakoteż aresztowania.

W największej zaś mierze nie dopuściły do rozwoju ruchu wyborczego stronnictwa socyalne, Polskiej Partyi Socyalistycznej, Socyalnej Demokracyi i Bundu. Niezadowolone tak z samej, za ciasnej, ich zdaniem, ordynacyi wyborczej, jakoteż pośredniości (dwustopniowości) wyborów i to rozpisanych w czasie stanu wojennego, pozbawiającego ogół wszelkiego bezpieczeństwa i wolności słowa, zebrań i prasy, postanowiły stronnictwa te nie dopuścić do przeprowadzenia wyborów a tak samo obecnej akcyi przedwyborczej. W tym celu wydały proklamacye, wzywające do bojkotu wyborów, jakoteż i osób zgłaszających się do komisyj okręgowych; to samo propagowały w swych pismach, nie dozwolonych cenzurą, jakoteż drogą agitacyi na zebraniach robotniczych po fabrykach i zakładach przemysłowych.

Skutek nie zawiódł...

Przez cały tydzień złożono zaledwo 15000 deklaracyj, zamiast kilkudziesięciu tysięcy uprawnionych do głosowania. Najlepiej widać, jak był mały udział przyszłych wyborców — na załączonych tu trzech ilustracyach, podług zdjęć na miejscu dokonanych i to w porze najruchliwszej, przy lokalach przedwyborczych okręgowych na Lesznie i Nalewkach.

Ruch wyborczy w Warszawie: Wnętrze lokalu wyborczego na Nalewkach z kilku zaledwie prawyborcami.

Na Lesznie obrał siedzibę komitet przedwyborczy w szkole im. Konarskiego, na której murach po obu stronach drzwi wchodowych — jak to właśnie widać na jednej z trzech naszych illustracyj — wiszą nalepione olbrzymie ogłoszenia magistratu o wyborach, napisane w dwu językach: polskim i rosyjskim. Jakkolwiek to g dzina 12-ta, zatem pora właściwa do największego ruchu przedwyborczego, pusto tu zupełnie. Spojrzcie na drugą rycinę (na poprzedniej stronie 17).

Na Nalewkach wśród zwykłego ruchu handlowego, właściwego tej dzielnicy nie zdradza się na zewnątrz niczem nadzwyczajnem ruch przedwyborczy, a tak nie wesoło — jak oto widzimy na trzeciej wreszcie illustracyi — wygląda wnętrze biura komitetu, gdzie ledwie czterech prawyborców i jakaś pani zgłosili się w sprawach wyborczych.

W ostatnim dniu obudziły się nadzieje przedłużenia terminu do zgłoszeń, który w Petersburgu. wynosi 6 tygodni. Lecz nawet i w tym wypadku wątpić należy w znaczniejsze ożywienie się ruchu wyborczego, którego załączone ilustracye pozostaną na zawsze wiernym obrazem. *Bejot.*

Nowy redaktor „Kuryera Warszawskiego".



Nowy redaktor „Kuryera Warszawskiego": Konrad Olchowicz.

Bruno Kiciński, Ludwik Adam Dmuszewski, Ludwik de Vidal, Karol Kucz, Zygmunt Zaborowski, Ant. Edw. Odyniec, Stanisław Bogusławski, Wacław Szymanowski, Józef Wolf, Franciszek Olszewski, Franciszek Nowodworski, Władysław Korotyński, Jan Brzeziński, a za nimi czternasty z rzędu Konrad Olchowicz zasiadł na fotelu redaktorskim „Kuryera Warszawski go", w 85-tym już roku istnienia tego najpoczytniejszego organu opinii publicznej w Królestwie.

Tradycya to już tedy blisko całowiekowa spoczywa na „Kuryerze Warszawskim", a w ślad za tem i na jego naczelnych redaktorach, nie drogą spuścizny spadkowej, ale dziedzictwem tężyzny ducha, miłości ojczyzny, gorliwości w jej służbie, prawości charakteru i umysłu zdolnego objąć szersze horyzonty myśli polskiej i wszechświatowej.

O tyle też każdorazowa zmiana na fotelu redaktorskim w tem właśnie piśmie ma doniośléjsze znaczenie, a wybór kandydata ze strony każdoczesnych jego wydawców musi być zrównoważony względami na tradycyę pisma i na postęp czasu z jego wymaganiami.

Doba obecna wymagała przedewszystkiem redaktora-obywatela, znawcę doświadczonego spraw kraju, sprawy polskiej, szczerego patryoty, a przytem polityka wytrawnego, rozważnego i ostrożnego, niemniej człowieka otwartego umysłu, stałego charakteru, szerzej zestosunkowanego.

P. Konrad Olchowicz posiada w całej pełni powyższe warunki, do których łączy osobiste cenne zalety. Dzięki temu wskazywała go opinia ogółu jako najodpowiedniejszego kandydata na naczelnego redaktora „Kuryera Warszawskiego" po poprzedniku Dr. Brzezińskim, którego od czasu jego ciężkiej choroby, tj. przeszło od pół roku, zastępywał tak w wydawnictwie jak i jego reprezentacyi w licznych komitetach obywatelskich, jakoteż w gronie delegacyi prasy polskiej, powołanej do Petersburga przez ministra Kobekę dla opracowania ustawy prasowej.

Urodzony Warszawianin, tu też odebrał pierwsze wykształcenie, które następnie wzbogacił na uniwersytecie lwowskim, jakoteż za granicą. Zbliżony węzłami przyjaźni do rodziny Szymanowskich, a następnie ożeniony z córką współwydawcy i redaktora śp. Wacława Szymanowskiego, Heleną, poświęcał się czas jakiś sprawom handlowym, w której to dziedzinie posiadał wyższe studya, spożytkowywane następnie w pismach, a specyalnie w feljetonowo pisanym w Kuryerze dziale p. t. „Tydzień handlowy". Związany następnie bliżej z wydawnictwem, szczególnie od zgonu współwydawcy śp. Franciszka Salezego Lewentala, objął włodarstwo części pisma gospodarczej, a znalazł dzielną pomoc w bracie swym Zygmuncie, jako kierowniku działu administracyjnego.

Na dobro nowego redaktora, którego portret powyżej załączamy, zapisać należy godne jego oparcie się pokusie reakcyjno-ugodowej wewnętrznej, kiedy to za podmuchem Askenazego wystąpili „ugodowcy" przeciw akcyi unarodowienia szkół z potępieniem bojkotu i wezwaniem do powrotu młodzieży do szkół rosyjskich, a męskie to swoje stanowisko nie wahał się jako odpowiedzialny redaktor zaznaczyć nawet odmową ogłoszenia w Kuryerze listu pasterskiego arcybiskupa ks. Popiela z wezwaniem do rodziców i młodzieży.

Wogóle umiał p. Konrad Olchowicz w przełomowych czasach obecnych, chociaż tylko zastępczo, tak kierować nawą „Kuryera Warszawskiego", iż nigdy na szwank jej nie naraził w dobrej opinii i zaufaniu społeczeństwa polskiego, środkiem idąc tym wypróbowanym, który daleki od ustępstw i niewczesnych kapitulacyj wobec zapędów nieprzyjaznych czy reakcyjnych biurokracyi — niemniej umiał oprzeć się również zwycięzko krańcowym zakusom stronnictw socyalnych, a tem bardziej rewolucyjnych.

* * *

Oto kilka rysów nowego redaktora „Kuryera Warszawskiego", któremu wraz z ogółem zasyłamy na nowem, ciężkiem i odpowiedzialnem stanowisku serdeczne „Szczęść Boże!" *Bejot.*

„Najmłodszy" strejk.

Z szeregu niekończących się w Warszawie strejków urodził się w sobotę, 20 b. m. wieczorem strejk najmłodszy: roznosicieli „Kuryera Warszawskiego".

A jest ich armia cała, gdyż nie są to ci przygodni uliczni kolporterzy, chłopcy, nabywający codziennie po kilka różnych pism dla sprzedaży ulicznej, lecz ludzie zorganizowani do stałego roznoszenia „Kuryera" 2 razy dziennie abonentom miejscowym do domów, zorganizowani i płatni stale przez administracyę „Kuryera Warszawskiego".

Ilustracya doraźna daje niejakie wyobrażenie o ich ilości.

Każdy roznosiciel ma przydzielonych 100 abonentów do obejścia, za co pobiera miesięcznie 14 rb. 20 kop., składając w kantorze jako kaucyę rubli sześć. Formalności z policyą załatwia kantor.

Roznosiciele chcąc wyzyskać obecny zakaz kolportaży, postawili w sobotę wieczorem najniespodziewaniej żądania: 1) podwyżki płacy do 25 rb. miesięcznie, 2) oprocentowania składanych kaucyj, 3) zaopatrzenia na wypadek choroby, kalectwa, starości, a nawet jakieś dodatki na dzieci.

Już sama podwyżka pensyj miesięcznych czyni dla wydawnictwa poważną różnicę 15000 rb. rocznie, nie mówiąc o znacznie większej sumie, jaka urosłaby z wypełnienia żądań następnych. Co prawda, roznoszenie pism abonentom opłacają oni sami przez dodatek do ceny prenumeraty dziesięciu kopiejek na miesiąc. Administracya zatem, odmawiając żądaniom roznosicieli, występuje do pewnego stopnia jako szermierka abonentów pisma. Niemniej zatarg ten najmniej pożądany w porze obecnej zawieszenia tylu wydawnictw, zakazu kolportaży ulicznej, wywołał nowe zamieszanie, a nawet w pierwszej chwili panikę po domach, gdy w skrzynkach na pisma zabrakło naraz wszędzie „Kuryera Warszawskiego".

Tymczasem całe jego stosy zalegają kantor i sąsiednie pomieszczenia, a nieustannie do późnej nocy brzmiał dzwonek telefoniczny w kantorze od ciągłych zapytań abonentów z miasta o przyczynę zastoju.

Administracya pod kierownictwem p. Zygmunta Olchowicza zabrała się energicznie do zobowiązenia przeszkodzie i w tym celu powołała na niedzielę posłańców (ekspresów) celem powierzenia im roznosicielstwa na dotychczasowych warunkach.

Być może, że krok ten wpłynie otrzeźwiająco na strejkujących, tem bardziej, iż dola ich bynajmniej nie jest tak złą, gdyż obok większych datków noworocznych otrzymują oni od abonentów co miesiąc z „łaski" po 10, 15 do 20 kop, co w każdym razie czyni 4—5 rubli, a prócz tego sprzedają swój własny numer gratisowy, nie mówiąc już i o zarobku z tych, które kupią dla sprzedaży po drodze, lub nie doręczą abonentom dla różnych przeszkód chwilowych.

Strejk ten „najmłodszy" może byłby od razu zażegnany, gdyby nie wypadł w przededniu nowego „powszechnego" zapowiedzianego na poniedziałek 22 stycznia jako pierwszą rocznicę „krwawej niedzieli" w Petersburgu. *B—t.*



„Najmłodszy" strejk w Warszawie: Roznosiciele „Kuryera Warszawskiego" przed kantorem, domagający się solidarnie podwyższenia płacy.

Ysaye Eugeniusz.

Jakkolwiek w dziedzinie sztuki nie ma rang — a nazwa „artysta" jest terminem, którego w wyższym lub niższym stopniu pomyśleć nie można, to jednak w dziedzinie tej znajdują się mistrze i arcymistrze — czyli, jak zwykło się mówić, wielcy mistrze.

Królestwo gry skrzypcowej posiada kilkudziesięciu arcymistrzów, których nazwiska znane są zarówno melomanom jak i zwykłym śmiertelnikom, a z których każdy dla siebie w tym lub owym rodzaju jest doskonałym i niedoścignionym. — Pomiędzy sobą różnią się bądźto pojmowaniem utworów, bądź też sposobem samej gry. Zarówno tedy wielkim i ni d ścignionym jest np. taki Burmester, jak Kubelik, Joachim lub Marteau, Ondrziczek lub Fritz Kreisler — Kocian lub Frieda Scotta itd. itd. długi szereg imion. Przed każdym z nich chyli się z uszanowaniem pióro krytyka — bo każdy z nich to mistrz wielki, mistrz uznany i podziwiany — mistrz, którego słucha się z zapartym oddechem, którego darzy się huraganami oklasków.

Jest jednak artysta, którego zarówno krytyka całego świata, jak i sami ci potentaci smyka, stawiają bez wahania na najwyższym piedestale uznania — a ustępując mu pierwszeństwa, mianują go zgodnie mistrzem nad mistrze.

Jest nim Eugeniusz Ysaye — Belgijczyk, profesor konserwatoryum w Brukseli.

Leksykony muzyczne podają szczupłą ilość dat z jego życia, notując zgodnie, iż urodził się 16/7 1858 w Liège, gdzie też pobierał pierwsze nauki w miejscowem konserwatoryum Wykształcenia wirtuozowskiego dokonał Vieuxtemps w Brukseli. Do roku 1881 pełni Ysaye obowiązki koncertmistrza w słynnej berlińskiej orkiestrze Bilsego, czyniąc w chwilach wolnych od zajęć wycieczki po Niemczech w towarzystwie takich mistrzów jak Rubinstein, D'Albert itd. — Przez pięć lat następnych mieszka Ysaye w Paryżu, poważany i wysoko ceniony przez Cezara Franka, tudzież przez d' Indy'ego, znakomitych kompozytorów, z którymi zawarł trwałe związki przyjaźni. W r. 1886 uproszony o objęcie katedry gry skrzypcowej w brukselskiem konserwatorym, osiada w tem mieście na krótko, gdyż wzmagająca się co raz więcej sława jego zmusza go do częstych i na szersze ruty obliczonych tournee koncertowych. — Gra tedy z olbrzymiem powodzeniem w największych środowiskach artystycznych Europy i kilkakrotnie w całej Ameryce, skąd przywozi nie tylko sławę, równą chyba sławie Paderewskiego, lecz także i milion dolarów. — Praca ta nie przeszkadza jednak Ysayowi pracować na polu kompozytorskiem. Ilość utworów o wartości niepowszedniej jest znaczna, a są to nie tylko kompozycye na skrzypce, lecz także utwory kameralne, tudzież kompozycye, pomyślane szerzej na orkiestrę symfoniczną.



Ysaye Eugeniusz.

Krytyka stawia Ysaya jednogłośnie na najwyższym szczeblu skali wirtuozowskiej, przyznając mu wszystkie zalety najdoskonalszego wirtuoza skrzypcowego, niedościgninego w wyrazie i nieprzewyższonego w artyźmie, mianując go największym dziś skrzypkiem na świecie. — Grę jego cechuje nie tylko kolosalna i niedościgniona technika, lecz także i wielka głębia uczucia, tudzież nieporównana maestrya, z jaką staje na estradzie wobec słuchaczy.

U nas w Galicyi nie słyszeliśmy Ysaya wskutek tego, iż marszruta jego wycieczek koncertowych nie obejmowała naszych skromnych szlaków artystycznych — a także po części wskutek tego, iż szczupłość naszych sal koncertowych nie pozwalała na odpowiednie uhonorowanie takiego artysty. Dzięki tylko wyjątkowym zabiegom lwowskiej filharmonii, tudzież osobistym zabiegom p. Lityńskiego, usłyszeli melomani lwowscy i krakowscy w ubiegłym tygodniu, tego mistrza nad mistrze, prawdziwego króla skrzypków, któremu z niezaprzeczonym artyzmem towarzyszyła na fortepianie wybitna i dystyngowana artystka p. Klara Czop-Umlaufowa.

— *urs.* —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

23 (Ciąg dalszy).

— Powiedziałem już panu komisarzowi, że każdej chwili jestem do rozporządzenia!

— Dobrze! pański współudział może mi się przydać ogromnie! Jeszcze dziś wieczorem zamyślam wyjechać do miasta, w którem przebywa obecnie pan Franciszek Springer. Czy zechce mi pan towarzyszyć?

— I owszem... ale...

— Co takiego?

— Boję się!... Podobno, jak mi pan komisarz już wspominał, Springer był na drugi dzień także przesłuchiwany przez pana, otóż lękam się, żeby pana nie poznał!...

Komisarz uśmiechnął się wesoło.

— Naturalnie, żeby mnie poznał, gdybym się zjawił przed nim w urzędowym charakterze! Ale pan widocznie nie masz zaufania do przemyślności naszej policyi, skoro posądzasz mnie o taki brak przezorności. Już ja pana zapewniam, że on mnie do ostatniej chwili nie pozna!

Archer skłonił się w milczeniu, a kiedy obaj umówili się już, o której godzinie i gdzie mają się spotkać na dworcu, komisarz spytał inżyniera o wynik jego odwiedzin w szynkowni Stefana Klausa.

— No, no! — uśmiechnął się, wysłuchawszy opowiadania Amerykanina — historya z tem przejściem jest nam dobrze znana, bo prawie wszystkie domy na tej ulicy mają podobne połączenie z tem pustkowiem, używanem jako śmietnik. Ta okoliczność już w pierwszem śledztwie zwróciła mą uwagę, ale ponieważ cała sprawa zdawała się być nader jasną, nie przywiązywałem do tego żadnej wartości. A prócz tego miejsce, w którem znaleziono zwłoki Rudolfa Springera, jest oddalone o jakie dobre pół godziny drogi od tego pustkowia!...

— Tak! ale to nie przeszkadzało, żeby wyrafinowani zbrodniarze nie przewieźli łódką otumanionego chloroformem starca do tego miejsca! Przecież tylko w ten sposób mogli uniknąć podejrzenia!...

— Zapatrywania pańskie mają ogromną słuszność, lecz należy zawsze strzedz się przed zbyt szybkiemi wnioskami. Bardzo często można ukuć cały łańcuch podejrzeń przeciw całkiem niewinnym istotom, który potem niema żadnej wartości, gdy tylko zabraknie jednego ogniwa. Niech pan nie zapomina, że Stefan Klaus sam zgłosił się na policyę ze swemi zeznaniami i gdyby nie to, nie mielibyśmy żadnej wiadomości o tem, czy kiedykolwiek widział się ze zmarłym, albo, jak pan mówisz, ze zamordowanym!...

— Ja w tem właśnie widzę okoliczność obciążającą, a nie łagodzącą i dowód wyrafinowania zbrodniarzy. Zjawienie się eleganckiego starca w takiej mordowni łatwo mogło zwrócić czyjąś uwagę i ktoś mógłby był uwiadomić o tem władze, dowiedziawszy się o rzekomym nieszczęśliwym wypadku! Otóż, aby uprzedzić takie zeznanie, Stefan Klaus sam zgłosił się do policyi i w ten sposób zapewnił sobie bezkarność oraz uniknął wszelkich podejrzeń.

Komisarz zgodził się na wnioski Archera i obaj rozstali się w jaknajlepszej zgodzie, aby poczynić przygotowania do wyjazdu.

Na kwadrans przed odejściem pociągu, Amerykanin zjawił się na dworcu i niecierpliwie oczekiwał swego towarzysza podróży. Ale minuta mijała za minutą a komisarz nie pokazywał się wcale i już drugi raz zabrzmiał dzwonek, wzywający pasażerów do wsiadania, gdy jakiś starszy, elegancko ubrany mężczyzna, podszedł do Archera i położywszy poufale rękę na jego ramieniu, przywitał się z nim jowialnie.

Zdziwiony, zmięszany spojrzał Amerykanin na nieznajomego. Nie mógł przypomnieć sobie ani tej czerwonej twarzy, okolonej siwą brodą, ani tego głębokiego basu, jaki usłyszał. Uprzejmie jednak zdjął kapelusz i zaczął przepraszać nieznajomego za to, że go nie poznaje.

A ten roześmiał się na całe gardło i rzekł zmienionym tonem:

— No teraz uwierzy mi pan chyba, że pan Franciszek Springer, który tylko raz w życiu i to przez chwilę tylko miał ze mną do czynienia, nie pozna wcale, kim jestem! Zdaje mi się, że charakteryzacya moja jest nie zła, że znam się na tej sztuce nie gorzej od zawodowych aktorów!..

Stroskana twarz Archera wyjaśniła się odrazu. Obaj wsiedli do osobnego przedziału i przez cały czas podróży zabawiali się układaniem planów i szkicowaniem ról, które mieli odegrać, aby złapać Franciszka Springera w pułapkę, nie wzbudzając w nim żadnego podejrzenia.

Stanąwszy u celu podróży, zajechali do hotelu „pod złotym lwem" i komisarz zaciągnął się do książki meldunkowej jako Karol Müller kapitalista z Berlina, a Amerykanin jako Fryderyk Walter, kupiec z Brunyi. W parę godzin później Berman wyruszył na zwiady, a gdy powrócił miał wielce zadowoloną minę.

— Wszystko się zgadza, mój kochany panie Fryderyku— rzekł na powitanie do Archera — wiem nawet, kto to jest ten zagadkowy doktór! Będzie to zapewne nie kto inny jak adwokat Harras, bez którego Franciszek Springer kroku nawet nie zrobi!

— Więc pokazuje się, jak widzimy, że Parker powiedział mi szczerą prawdę?!...

— Powoli, powoli, mój kochany! poszlaki się mnożą, ale pewnych danych nie ma jeszcze wcale. Szczęśliwym trafem znalazłem pretekst, aby zetknąć się z panem Springerem pod jego własnym dachem. Springer chce sprzedać swój dom, a nie uczyni tego bez adwokata Harrasa. W ten sposób wszyscy spotkamy się oko w oko!...

— A jakąż rolę ja przy tem odegram, panie komisarzu?...

— Tego sam jeszcze nie wiem! Musimy zaczekać z decyzyą w tym względzie, bo to jest zawisłe od różnych okoliczności. Zresztą jest jeszcze jedna kwestya, nad którą musimy się zastanowić. Pan byłeś przyjacielem Rudolfa Springera, więc córka jego, która przebywa obecnie w domu swego stryja, mogłaby pana poznać odrazu!...

Archer, zawsze taki śmiały i pewny siebie, zmieszał się i zarumienił, jakby go ktoś złapał na gorącym uczynku.

— Właśnie miałem zamiar prosić pana komisarza......

— Mów pan otwarcie, o co chodzi! Przecież pan wie, że i mnie wiele na tem zależy, aby nie popsuć sprawy!...

— Otóż chciałem prosić, aby pan najpierw pokryjomu uprzedził pannę Helenę Springer o mojem przybyciu i umożliwił nam krótką tajemną rozmowę. Skoro pan dostanie się do domu Springera, nie będzie to dla pana zbyt trudnem!....

— Zgoda! zwłaszcza, że i ona może da nam jakieś informacye!..

I Archer, nie mając na razie nic do roboty, udał się na przechadzkę, a gdy głód zaczął mu dokuczać wstąpił do jakiejś restauracyi o wielkich lustrzanych szybach, która na pierwszy rzut oka uchodziła za najporządniejszą i najwykwintniejszą. Była to godzina śniadaniowa i cała sala wrzała życiem, co najlepiej świadczyło o dobroci kuchni i piwnicy. Amerykanin, wszedłszy, zajął miejsce przy małym stoliczku, który był jeszcze wolny i zamówił sobie flaszkę wina.

Tuż koło niego przy drugim stole zabawiała się gromadka młodych, bardzo eleganckich panów, która do tak hucznej zabawy musiała mieć jaki głębszy powód. Podano im właśnie szampana, a kiedy pierwszy korek wystrzelił do góry, posypały się wesołe, choć trochę rozpustne toasty. I nagle Archer posłyszał nazwisko... nazwisko, którego dźwięk targnął nim, jak iskra elektryczna.

(Ciąg dalszy nastąpi)

LUDWIK STASIAK.

Reprezentant redakcyi.

Humoreska z opowiadań analfabety.

Bufonada i zamiłowanie do przechwałek leży w każdej ludzkiej duszy. Uderzmy się w piersi i przyznajmy, że każdy z nas lubi o sobie powiedzieć: „Z księciem Orleanu trzepnąłem sobie po trzy kieliszki“ lub też: „Przy ostatniem przesileniu wpychano mi gwałtem tekę oświaty, ale wymówiłem się“ etc. Ja jeden nie cierpię przechwałek. Tak jest, moi państwo. Z całą szczerością wyznaję, że nie piłem gorzałki z ks. Orleanu, że mi nie wpychano gwałtem teki oświaty, co zaś do teki finansów, to nie dają mi jej dlatego, bo dobrze wiedzą, że ja, na drugi dzień po zamianowaniu, byłbym już wraz ze skarbem państwa w drodze do Ameryki. Nie byłem parem Anglii, nie byłem właścicielem majoratu w Niemczech, natomiast byłem pomocnikiem stróża we Wadowicach.

Były to dawne czasy. Szczerze wyznaję, że byłem wówczas analfabetą. To jest... Pisać nie umiałem, co do czytania zaś, to ograniczało się ono tylko do alfabetu drukowanego. Mimo to aspiracye miałem bardzo wysokie. Tylko przez złość i przewrotność ludzką się nie realizowały. Rada szkolna krajowa upatrzyła sobie coś do mnie i mego analfabetyzmu i odrzuciła moją prośbę o posadę c. k. stróża w gimnazyum. To też przez długie lata byłem tego stróża koncypientem, czynności zaś moje ograniczały się na paleniu w piecach, na zamiataniu podłóg i na rżnięciu w skórę uczniów. Z równą szczerością wyznaję, że przy tej ostatniej czynności kierowałem się protekcyą. Należycie uhonorowany, patrzyłem przez palce na watowane spodnie, niehonorowany zaś, wyobrażałem sobie, że bity jest moim losem. Oto na ławie leży mój los, walę więc bez litości i pomstę wywieram straszliwą. Oprócz tych czynności poświęcałem się jeszcze czyszczeniu tak lamp, jakoteż butów pana dyrektora.

Ciężka była praca, a jednak nie przeklinam tych czasów. Ho, ho! Żyło się bez troski o jutro, dola zaś moja wywoływała nierzadko zawiść i zazdrość. Brzydkie te wady ludzkie zobaczyłem głównie wtedy, gdy młodzież, pragnąca mieć watowane spodnie, honorowała mię suto. Wówczas to z uskładanych pieniędzy kupiłem sobie na niedzielę wspaniały angielski surdut, modny kołnierz i krawatkę. Niema się czemu dziwić, że, gdy ubrany, jak lord, zjawiłem się na rynku, w sferach stróżów powstał popłoch.

Tem milej przyjęto mnie w domu woźnego, który zamiatał urząd podatkowy. Podziwiano tam moje eleganckie ubranie. Gdy się dowiedzieli, że w najbliższym czasie zamierzam do Krakowa odbyć podróż, chcieli mię obarczyć ludzie dziesiątkami sprawunków. Wysłuchałem tylko jednej prośby. Przekupka Jacentowa prosiła mię, abym jej kupił lekarstwo na boleści brzucha. Mówiła ona:

— Ani w Wadowicach tego nie dostanie, ani w aptece tego naszej nie dostanie, ani nawet w Kalwaryi tego nie dostanie. Lekarstwo na boleści brzucha sprzedają jedynie w Krakowie w drogueryi.

— W czem?

— No, w drogueryi. Nad sklepem, gdzie takie leki sprzedają, napisane jest dużemi literami: „Dro-gu-e-ry-a.

Chociaż cudackich wyrazów nie pamiętam, choć wówczas nie potrafiłem określić różnicy, jaka jest między daktylami, dyachilami i dyalektyką, renansem, rezonansem i renesansem — przecież wbiłem sobie w pamięć to słowo i ruszyłem w drogę. Szczerze pragnąłem pomódz biednej Jacentowej.

* * *

Pierwszy raz widzę wielkie miasto, pierwszy raz widzę Kraków. Wozy bez koni same jadą, latarnie bez nafty się palą, panowie w cylindrach, panie w kapeluszach, żołnierze, jenerałowie ze złotymi kołnierzami, w każdym rogu rynku stoi jakiś wysoki jenerał, na złotej tablicy ma napisane: ekspress. Błądzę po ulicach, po plantach; gdym już wszystko widział, przychodzi mi na myśl przekupka Jacentowa. Przypominam sobie, że mam jej kupić lekarstwa na boleści – lekarstwa tego dostanie w...

— Do dyabła!

Gdzież tego lekarstwa dostanie?!

— W... w... w...

Na śmierć zapomniałem, co jest napisane na sklepie, gdzie sprzedają lekarstwo na ból brzucha. Myślę i myślę, nic wymyśleć nie mogę, patrzę na sklepy, przeszedłem już dziesięć ulic...

— O dziwo!!

Jest już, jest. Nad bramą jest napisane to samo. Pamiętam przecie bardzo dobrze. Nie ulega wątpliwości: Redakcya! Re-dak-cy-a.

Wchodzę.

. . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwiązania z Nru 2.

Zagadka.

J N n
g r o t a
W a w e l
N o w o ś c i
s o s n a
k a c y k
N i l
l i n
W i l n o
H a u k e
T o ł s t o j
J u s t y n a
I l u s t r o w a n e
T o b o l s k
S k a w i n a
B r a m a
b a n a n
B e m
i w a
S o K ó l
S t r u ś
B a r a n e k
w K r a k o w i e
H e r o d o t
K a w o n
C h i l i
T e n
ł z a
S k a w a
K a c a p
Z a c i s z e
a r s e n
n i z a m
l e n

Szarada: Kamaryla.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: A. Surowiecki Kraków, A. Bocsoń Bobrka, M. Zollnerówna Tarnopol, G. Fuchsbalg Lwów, T. Wasiewiczowa Baranów, M. Arbesbauer Lwów, J. Ramoszyńska Borysław, A. Zimmer Mikulińce, T. Domain Sanok, J. Sławiński Wierzchosławice ad Radłów, M. Cetera Dubiecko, P. Wierzba Trzyniec na Śląsku, J. Wróbel Łękawica, K. Chłopicka Zawadów, J. Lis Skała, St. Spunda Skala, Wasyanowicz Skała, M. Wyczółkowska Zielona nad Zbruczem, M. Markowska Przemyśl, St. Wysocka Dąbrowa ad N Sącz, I. Wachowicz Zielona, St. Cyran Jasło, K. Chodkiewicz Zbydniów, M. Opolska Czarny Dunajec, K. Radwański Nowy Sącz 2, St. Gajdeczka Zapałów, Tow. kasynowe Leżajsk, A. Knopfówna Lwów, A. Markowski Przemyśl, S. Samueli Limanowa, J. Badura Rożdzień, A. Batko Lwów, Z. Ehrenberg Kraków, Ks. J. Suski Brzezie, W. Czerkawski Dolina, L. Fortuna Kęty, K. Fuchs Peczeniżyn, B. Pieterkiewicz Czerniowce, J. Jeleński Nowy Targ, J. Rodakowska Kulików, J. Czechowicz Mikołajów, W. Pisiewiczowa Śniatyn, I. Bzuszkiewicz Chorostków, J. Nowiccy Sokal, M. Bossowska Bistuszowa, M. Miłkowski Bełz, K. Jurkiewicz Tłumacz, Tow. „Zgoda“ Krosno, A. Sanetra Załóżce, Fr. Kalita Gawłuszowice, J. Maniecki Nawojowa, F. Kulesza Kraków, I. Stawarski Jaworzno, Ks. Styrak Złoczów, H. Plechowska Stanisławów. M. Radlmesser Swoszowice, W. Siła Nowiccy Wiśnicz, B. Ramułtowa Jeżów. R. Żabka Biała, K. Łaszkiewicz Sambor, J. Robak Kraków, S. Waśniowski Kraków, H. Andrysik Dąb, St. Staśko Dębniki, Fr. Angielczykowski Lubaczów, W. Pierścińska Borysław, S. Dydacka Żurawno, H. Zielińska Manajów, J Kuczericzka Hladki, M. Serafin Rzeszotary, E. Bogdalska Koropuż, T. Cyprian Borszczów, St. Szwabowicz Żurawno, H. Lelgdowicz Fraga ad Rohatyn, F. Suchomel Tartarów, St. Borzęcka Sarnki górne, Z. Ziembowicz Mikołajów, Czytelnia Katolicka Nowy Targ, Wł. Hałdziński Lichwin, H. Ulrich Malin, J. Bielawski Brzeżany, Br. Weismanówna Limanowa, St. Grodecki Leżajsk, W. Cellerin Busk, M. Maruszczak Jezierzany, K. Biliński Szarpańce, E. Komar Ujście, Gałuszkiewicz Lwów, H. Negruszowna Brody, H. Szczerbowa Majdan, Z. Iwanowicz Kołomyja, G. Krasuski Winniki, A. Dudziński Biała ad Czortków, P. Nowiński Tarnów, K. Jasiński Sambor, J. Bojuk Bełz, Z. Szymczakowska Lwów, Kulczyńska Kraków, S. Smalawski Staresioło, S. Kazimirska Kraków, F. Dancewicz Porchowa, A. Starczewski Ottynia, K. Morawska Dynów, A. Janowski Bórbka, Wł Żralski Podgórze, Sklep kółka rolniczego w Majdanie zbydniowskim, W. Stanula Samocice, Wł. Giżowski Krynica, J. Bazylewicz Jaktorów, St. Łaszkiewioz Dębica, H. Mokrzycka Turbia, A. Bassara Niwiska, Tow czytelniane „Sokół“ w Myślenicach J. Biegoń Sucha, Niewiarowski Kraków, J. Sarama Milówka, H. Danielewiczowa Bircza, M Rozański Gorlice, F. M. Pachucki Waksmunt, J. Aleksandrowicz Kraków, . Pompianka Kraków, J. Sułkowski Kraków, W. Pytlik Ujkowice, S. Zoellner Rozwadów, L. Bosshändler, Rozwadów, J. Chudzik Bełz, H Psarska Tarnów, A. Boryczko Przybysławice, J. Żankowski Ropielniki, A. Popielówna Buczacz, H. Popielówna Buczacz. K. Ludwik Borysław, W. J. Cz czka Rzeszów, L. Świeżawska Gładyszów, N. Zgorlakiewiczówna Kraków, M. Świtkowska Kraków.

Uwaga: Na liczne zapytania Szan. P. T. Czytelników co do terminu nadsyłania rozwiązań donosimy, że rozwiązania przesyłać można **najdalej do 11 dni** po wyściu odnośnego numeru z zagadkami. Naprzykład rozwiązania zagadek z niniejszego numeru można przesyłać najpóźniej do dnia 5 lutego, to znaczy, że tego dnia rozwiązania będziemy mieli już w redakcyi W ten sposób unikniemy zażaleń Szan. P. T. Czytelników, że nie zamieszczamy ich wszystkich w szeregu tych, którzy nadesłali dobre rozwiązania, gdyż zawsze prawie jest to winą samych P. T. Czytelników, którzy rozwiązania zapóźno przysłali.

Zagadki do nagrody.

Arytmogryf.

Podane cyfry zastąpić literami w ten sposób, aby litery środkowe utworzonych wyrazów, czytane w kierunku pionowym i poziomym utworzyły imię i nazwisko współczesnego poety polskiego:

12
21 22 14
2 5 3 1 12
7 18 26 25 23 15 1
18 1 3 13 1 23 9 3 5
12 22 3 25 1 15 18 25 4 5 12
2 5 19 1 18 1 2 10 1
13 16 21 25 19 26 5
2 1 4 5 15
12 5 15
12

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Inaczej nazwa świątyni, 3 Dzierżawca dóbr króla Jana Sobieskiego, 4. Inaczej kara pieniężna, 5. Miejscowość w Królestwie Polskiem, słynna zwycięstwem Kościuszki. 6. Imię i nazwisko poety polskiego, 7. Gubernia w południowo-zachodniej Rosyi, 8. Naród spokrewniony z Litwinami, zamieszkujący gubernie: Kurlandzką i Liflandzką, 9. Miejsce kąpielowe w Austryi Niższej, 10. Roślina, w Polsce pospolita, 11. Spółgłoska.

Zagadka.

Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki czytane z góry na dół, utworzyły określenie ważnego momentu politycznego, odgrywającego się obecnie w Hiszpanii.

✳
O ✳ O
O O ✳ O O
O O O ✳ O O O
O O O ✳ O O O
O O ✳ O O
O ✳ O
O O ✳ O O
O O O ✳ O O O
O O O O ✳ O O O O
O O O O ✳ O O O O
O O O ✳ O O O
O O ✳ O O
O O ✳ O O
✳
O ✳ O
O O ✳ O O
O O O ✳ O O O
O O O O ✳ O O O O
O O O O ✳ O O O O
O O O O O ✳ O O O O O

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dźwięk w muzyce. 3. Rodzaj roślin z rodziny trawiastych, znany z biblii 4. Kanton szwajcarski. 5. Minerał. 6. Miejsce kąpielowe w Tyrolu, 7. Słynny generał polski. 8. Imię żeńskie. 9. Roślina gospodarska. 10. Słynna aktorka japońska. 11. Przylądek na południowym krańcu Hiszpanii. 12. Osada w gubernii kieleckiej, słynna z kopalni galmanu i rudy żelaznej, 13. Jeden z największych dopływów Dunaju. 14. Stolica Litwy. 15. Spółgłoska. 16. Zaimek wskazujący. 17. Grecko-italska bogini ogniska domowego. 18. Tytuł powieści Żeromskiego. 19. Miasto w gubernii moskiewskiej nad rzeką Klaśmą. 20. Główne miasto na półwyspie Malakka, 21. Słynny kaznodzieja polski.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya **bombonierkę czekoladek** z cukierni lwowskiej J. Michalika w Krakowie.